O JĘZYK POLSKI NA WĘGRZECH.

Część t. zw. Górnych Węgier jest etnograficznie polską, co stwierdzili uczeni nietylko polscy, ale również czescy i słowaccy. Aż do roku 1880 nikt też temu nie przeczył, a w statystyce węgierskiej wykazywano ludność polską. Dopiero potem zniósł rząd węgierski formułę: lengyel (Polak) przy spisie ludności i od tego czasu oficyalnie „niema" Polaków na Górnych Węgrzech. Znajdą się tylko rozprószeni, tu i ówdzie, w stolicy państwa i innych miastach, gdzie są gośćmi i przybyszami; ale tam, gdzie mieszkają zwartą masą od wieków na własnej rodzinnej polskiej ziemi, gdzie stanowią rodzimy żywioł etnograficzny — tam ich „niema".

Doprawdy, rząd węgierski rozwiązał kwestyę polską u siebie w sposób tak zachwycająco prosty, że niczem Prusak! Nie może uznawać żadnych praw narodowych ludności, której „niema".

Od r. 1880 zapisuje się Polaków przy spisach ludności, jako „tót", co znaczy Słowianin.

Rząd węgierski lubi motywować prześladowanie Słowaków — ich „panslawizmem", a sam uprawia panslawizm, nie rozróżniając Polaków czy Słowaków, nie uznając żadnej narodowości słowiańskiej, tylko szczep słowiański wogóle. Ludność Górnych Węgier byłaby panslawistyczną, gdyby się stosowała do pojęć rządowych.

Wypada nam koniecznie wyprosić się od tego rządowego panslawizmu i jąć się wszelkich środków, żeby rodacy nasi na Węgrzech byli uważani nietylko za „Słowian", ale wyraźnie za Polaków.

Będzie to obowiązkiem polskiej prasy, naszych korporacyj i posłów naszych (zwłaszcza zasiadających w delegacyach), zabiegać około tej sprawy tak długo, aż usłyszymy od rządu węgierskiego odpowiedź przychylną. Dopóki to nie nastąpi, niech nam nikt za złe nie bierze, że wszelkie demonstracyjne zapewnienia o przyjaźni dla Polski uważamy za komedyę.

Madiarom jesteśmy potrzebni wobec zbliżającej się rewizyi ugody chorwacko-węgierskiej (1913) i wogóle wobec coraz widoczniej zbliżającej się rewizyi ustroju monarchii habsburskiej. Chcą mieć Polaków za sobą, a są dziwnie pewni, że pozyskają nas frazesem. Należy położyć tamę takiemu lekceważeniu imienia polskiego i postawić kwestyę wyraźnie.

Ludowi naszemu na Węgrzech należą się prawa narodowe, ażeby mógł się rozwijać kulturalnie na podłożu narodowem polskiem. Należy się nam oddział polski w jednem z seminaryów dyecezyalnych i polskie seminaryum nauczycielskie, żebyśmy mieli polskich księży i polskich nauczycieli. Należą się nam polskie publiczne szkoły ludowe, z czasem szkoły wydziałowe i średnie. Język polski powinien być równouprawniony z madiarskim w sądzie i urzędzie w powiatach etnograficznie polskich — a zatem wszyscy funkcyonaryusze publiczni powinni tam władać językiem polskim. Władze powinny popierać życzliwie zakładanie wśród ludu polskich stowarzyszeń gospodarczych i oświatowych.

Przyjacielem Polski uznać można tylko takiego Madiara, który się nietylko teoretycznie z tem zgodzi, ale też usiłowania o uznanie równouprawnienia narodowości polskiej czynnie będzie popierał.

Podnosimy kwestyę polską na Węgrzech.

Jeżeli to prawda, że Madiarzy są naszymi przyjaciółmi, znajdą się posłowie madiarscy, którzy sami podniosą tę kwestyę w sejmie i rządzie węgierskim, i przy spisie ludności w r. 1910 nie będą już nasi rodacy zapisywani, jako „tot“, lecz jako „lengyel“.

Oto kryteryum przyjaźni polsko-madiarskiej!

Pragniemy przyjaźni z Madiarami, ale na konkretnie podanych warunkach politycznych. Występujemy tylko przeciw temu, żeby znosić od nich najcięższe upokorzenia, a nawet prześladowanie — i jeszcze im za to ofiarowywać przyjaźń narodu polskiego! Toteż ślepe madiarofilstwo, uprawiane gdzieniegdzie, odkrywa smutny stan wykształcenia w sprawach ojczystych: widocznie dużo jest takich, którzy zabierają się do polityki, nie umiejąc geografii i etnografii polskiej. Nie znajdzie się bowiem żaden Polak, który dla utrzymania „tradycyjnych“ wiwatów polsko-węgierskich wypierałby się swych rodaków na Węgrzech.

Jak dotychczas, przyjaźń ta jest bowiem czysto wiwatową. Rząd „zaprzyjaźnionego z nami“ państwa węgierskiego, posiada-

jący przemożne wpływy w Wiedniu i wpływ w dyplomacyi, nie występował nigdy w obronie Polaków; a gdy wypadki podnosiły kwestyę polską, on ją zupełnie ignorował. Tak było niedawno, gdy wypłynęła sprawa autonomii Kongresówki; nikomu na Węgrzech nie przyśniło się, żeby rząd węgierski miał się starać o wywarcie w tej rzeczy jakiegokolwiek wpływu na wspólne ministerstwo spraw zagranicznych. Wogóle, niema nigdzie najmniejszego śladu, żeby powstanie niepodległego państwa węgierskiego miało jakiekolwiek dodatnie znaczenie dla sprawy polskiej; ale są ślady — i to aż nazbyt wyraźne — ujemnego dla sprawy polskiej działania rządu węgierskiego, na co nieraz już zwracaliśmy uwagę. Budzyń oddawał i oddaje wciąż usługi Berlinowi.

Skoro nie rząd, więc może społeczeństwo madiarskie robi coś takiego, co pośrednio jest korzystnem dla sprawy polskiej? Ale przeciwstawiać społeczeństwo rządowi w państwie konstytucyjnem — byłoby sofistyką. Nie było tam nigdy opozycyi o coś takiego, coby nas dotyczyło. Gdy nas wykreślono ze spisu ludności — nikt nie zaprotestował. Nie urodził się jeszcze taki Madiar, któryby pomyślał, że Polakom węgierskim należy się konstytucyjne równouprawnienie.

Madiarzy kochają nas bardzo w Budzyniu, w Debreczynie, w Temeswarze, t. j. wszędzie tam, gdzie nie możemy mieć pretensyi do niczego więcej, jak do wiwatów, któremi tak łatwo oszołomić szeroką publiczność. Ale gdzie w obrębie ich państwa jesteśmy u siebie w domu, obywatelami Korony św. Szczepana, którym należy się równouprawnienie — tam nie chcą o nas słyszeć.

Liczą wielce na politykę wiwatową w Polsce i umieją ją uprawiać misternie, kierując tem bardzo starannie z centralnego biura prasowego w Budzyniu. Chodzi im o to, żeby zapewnić sobie w opinii polskiej stanowisko narodu uprzywilejowanego, dla którego robi się wyjątek od wszelkich reguł.

Np. nie przyśni się nikomu z Polaków ofiarować Czechom przyjaźń polską gratis — za same tylko wiwaty. Zażądaliśmy, żeby porzucili ślepe moskalofilstwo, żeby stanęli po naszej stronie w walce o równouprawnienie w Rosyi, żeby starali się wywrzeć wpływ na Rosyan w duchu polonofilskim. Czesi warunki spełnili, a swoją drogą dodajemy: lecz ani piędzi terytoryum etnograficznego polskiego na Ślązku! Gdzie tylko nam się zdaje, że Czesi lud nasz czechizują, walczymy z nimi na ostre.

Ale od Madiarów nie żąda się, żeby porzucili w międzynarodowych kombinacyach popieranie polityki pruskiej; ani, żeby wpływali gdziekolwiek (a mają własne państwo) w kierunku polonofilskim — i ma im się jeszcze darować na zmadiaryzowanie terytoryum polskie, nie mniejsze od całego Księstwa Cieszyńskiego! Sprawę Morskiego Oka należy puścić w niepamięć! Sprawę z międzynarodowego zjazdu lekarzy w Budzyniu należy uważać za załatwioną jakiemś zebraniem młodzieży i niepodpisanym komunikatem w dziennikach, nadesłanym nie wiadomo w czyjem imieniu! Sprawę o wydalenie i ograbienie polskich włościan, właścicieli ziemi na Węgrzech, należy ubić milczeniem! A już do reszty nie godzi się mówić o istnieniu kwestyi polskiej na Węgrzech!

Oto warunki przyjaźni, ofiarowane nam przez Madiarów. Pod temi warunkami zezwalają na utrzymanie „tradycyjnej" przyjaźni, która polegała na tem, że my biliśmy się za ich wolność (oni za naszą ani razu!) i która ma też w przyszłości na nowo być stwierdzona tem, żebyśmy w razie, gdyby reorganizacya monarchii habsburskiej doprowadziła do nowej wojny austryacko-węgierskiej, stanęli znowu po ich stronie przeciw dynastyi i Wiedniowi — dla utrzymania „tradycyi", że my zawsze dla nich coś robimy, a oni dla nas nigdy nic. Bo od wszystkich innych narodów możemy się domagać świadczeń wzajemnych, prócz uprzywilejowanych Madiarów; ci mają prawo skwitować nas wiwatami.

Dosyć tego lekceważenia polskiego rozsądku: podnosimy kwestyę polską na Węgrzech[1]).

---

[1]) Porównaj artykuły *Świata Słowiańskiego*: Dr. Kazimierz Krotoski: „Stosunki etnograficzne na Spiżu", w zeszycie z kwietnia 1908 — i artykuł pod tym samym tytułem w Kronice z czerwca 1908, str. 623.

„Do wiadomości naszych madiarofilów", w kronice z lipca 1908, str. 687.

„Polska a Węgry" przez Dra Ludwika Kolankowskiego, listopad 1908.

„Najstarszy głos w naszej literaturze o Polakach na Węgrzech", luty 1909, w kronice str. 126.

„Prusofilstwo i madiarofilstwo", przez Dra Feliksa Konecznego, czerwiec 1909.

„Wizyta pruska w Budzyniu", lipiec 1909, w kronice str. 65.

„Ludność polska we wschodnich i środkowych żupaństwach Górnych Węgier", przez G. Smólskiego — sierpień 1909.

„Dwa pomysły przyłączenia Galicyi do Węgier" — tamże w kronice str. 170.

SŁOWIANOFILSTWO WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK.[1])
(1800—1832).

W ostatniej ćwierci XVIII wieku odradzał się duch polski, naród wracał do tradycyi wielkiej przeszłości; odżyło też wtenczas poczucie pobratymstwa z ludami słowiańskimi. Obok wzmianek i wspomnień o wspólności i łączności, okazują się rozprawy i dzieła naukowe, tworzące u nas podwalinę nowych gałęzi wiedzy, slawistyki i słowianoznawstwa. Prąd ten przetrwał rozbiory, a po rozbiorach znać w nim zabiegi około zbliżenia się i obcowania ze współplemiennikami wschodnimi na gruncie idei słowiańskiej. Poczęto zastanawiać się, żeby wytworzyć jakiś modus vivendi, czyniący zadość obustronnym potrzebom. Oczy wielu patryotów zwracały się ku Petersburgowi; marzono nawet o wskrzeszeniu Ojczyzny pod osłoną państwa rosyjskiego.

Promienie zaś tych nowych haseł, oświecające i ogrzewające umysły i serca dążeniami idealniejszemi, rozchodziły się z ówczesnej naszej najwyższej instytucyi naukowej, noszącej skromny tytuł „Towarzystwo warszawskie Przyjaciół Nauk". Miało wprawdzie Towarzystwo poważny charakter wyłącznie naukowy, ale poza tym tonem naukowo-literackim działalności jego odzywała się dość głośno idea słowiańska. Jest to tem godniejsze uwagi, że trzymało się ono zdala od polityki dnia codziennego, zachowując nawet wybitne piętno konserwatyzmu.

Ślady owej działalności przedstawię w tym porządku, w jakim utrwalone są w zbiorze Roczników Towarzystwa, w szeregu rozpraw, wygłoszonych na posiedzeniach publicznych, oraz w sprawozdaniach.

Wypadki polityczne nie wywierały wielkiego wpływu na tok zajęć Towarzystwa; działalności jego zawsze przyświecała tasama idea, czy to za czasów pruskich 1800—1806 roku, albo za Księstwa Warszawskiego od 1806—1815, czy też za Królestwa kongresowego.

---

[1]) Kraushar Aleksander: Towarzystwo warszawskie Przyjaciół nauk. Kraków — Warszawa 1900 tom I — VII. i „Pamiętniki" i „Roczniki" Towarzystwa.

W pierwszem sześcioleciu główną troską Towarzystwa była akcya ratunkowa przeciw zręcznie obmyślanej przez rząd pruski metodzie wynarodowienia. Pomyślne zaś dla narodowości polskiej zmiany, jakie zaszły w dzielnicach polskich, pod rządem rosyjskim zostających, z chwilą wstąpienia na tron Aleksandra I., znajdują odbicie i wyraz w coraz gorliwszem zajmowaniu się Towarzystwa słowiańszczyzną, oraz w objawach szczerej życzliwości dla reform, dokonywujących się w państwie rosyjskiem. Sympatye te wzrastają w miarę potężniejącego nacisku niemieckiego i w miarę ukazywania się coraz to nowych dowodów przychylności Aleksandra dla Polski.

Pierwszą widomą oznaką owego zwrotu jest mowa prezesa Albertrandego na posiedzeniu publicznem w dniu 9 maja 1801 r. o języku polskim, w której odzywa się silne echo pokrewieństwa języka polskiego ze słowiańskimi, jako wyraz kiełkujących w umysłach myślicieli idei solidarności Słowian, tak groźnej dla niemieckich zachcianek. „Godne zaiste jest ludzi naukę kochających zaprzątnienie — głosił mowca — zachować od zniszczenia język, który przez się, przez źródłowe wyrazy swoje, przez inne, z nim pobratymstwo mające języki, od Nowej Zemli do Weneckiego kraju, od Raguzy — do granic chińskich rozciąga się“.

Drugim takim symptomem budzących się gorętszych uczuć jest mowa pochwalna na cześć zmarłego członka Józefa Szymanowskiego, wygłoszona przez Stanisława Potockiego na tem samem posiedzeniu. I ten mowca poruszył strunę słowiańską w wyliczeniu zalet języka ojczystego, przemawiając w te słowa: „Z tylu języków, pochodzących z słowiańskiego źródła, z tylu narodów, które nimi od Śródziemnego morza do Północnego, od niemieckiej do azyatyckiej mówią granicy: przeszedł z dawna język polski inne — polorem, jak nasz naród inne narody — nauką. Mowa polska — słowiańskiego źródła najbliższa — zachowała w sobie ozdoby i wspaniałości najwięcej tej płynnej, tej brzmiącej pełności, która jest wdziękiem męzkiej wymowy.“

Na posiedzeniu z listopada 1802 r. przyjęto na członków honorowych sławnego poetę rosyjskiego i ministra sprawiedliwości Gabryela Dzierżawina, oraz sławnego czeskiego historyka i filologa Józefa Dobrovskiego.

W ustawie pierwotnej, określającej cele Towarzystwa, oraz

kierunek prac, któremi ma się zająć, umieszczono także dział historyi, literatury, języków, szczególnie słowiańskich, i sztuk wyzwolonych. Stosując się do tych celów odczytał na publicznem posiedzeniu Towarzystwa dnia 5 grudnia 1803 r. biskup Kossakowski piękną rozprawę o literaturze czeskiej i związku języków słowiańskich. Miała ona, jak na owe czasy, wielce niezwykły charakter, bo podnosiła w wymownych i faktami popartych słowach nić solidarności, jaka winna łączyć naród polski z innymi narodami słowiańskimi, a przedewszystkiem z narodem czeskim, gdyż „naród taki, który w dziejach swoich od naszych przodków swój szczep i początek wyprowadza z chlubą, którego większa część dziejów z naszymi jest wspólna, nad którym przez czas niejaki panowali nasi ojcowie, któremu największy dar niebios, zaprowadzenie do nas chrześcijaństwa, a z niem pierwsze nauk światło winniśmy, naród, którego pasterze w Polsce i Prusiech pierwsi wiarę chrześcijańską opowiadali, którego mowa pobratymska ledwie w czem od naszej jest różna, naród ten, oświeceni mężowie, na szczególniejszą uwagę waszą zasługuje."

Mowie swej nadał Kossakowski tło polityczne, kiedy zestawiając fakta odradzania się nauk we wszystkich krajach słowiańskich, oddał hołd cesarzowi Aleksandrowi I., „monarsze najpotężniejszych na północy narodów słowiańskich, gruntującym powszechną ich szczęśliwość na oświeceniu, na którego skinienie dawne odradzają się i większej nabywają świetności, nowe powstają akademie słowiańskie".

Dnia 9 grudnia 1806 — a więc już w stolicy uwolnionej od Prusaków Księstwa Warszawskiego — czytał książę Aleksander Sapieha rozprawę o Słowianach. Nie przestając na tem, co o przodkach powiedzieli historycy, postanowił sam na podstawach badań bezpośrednich dojść do kłębka prawdy o ich pochodzeniu. Zwiedził w tym celu w latach 1802 i 1803 „Illiryę", a w opisie tej podróży obok spostrzeżeń geologicznych i mineralogicznych zapisał ciekawe uwagi nad charakterem, zwyczajami, ubiorem „Chorwatów, Morlachów, Bośniaków", podziwiając ich wylaną a bezinteresowną gościnność. „Co w podróżach swych widział, czego się ze starożytnych podań nasłuchał, co pilną rozwagą i badaniem rozjaśnił, to w czterech rozprawach opisać postanowił". Pierwszą właśnie czytał na zgromadzeniu. Trochę później w r. 1811 ogłosił ją, jako pierwszy tom swych „Podróży po krajach sławiańskich". Szkoda, że nie

ogłosił drugiego tomu, bo mielibyśmy wcześniej od innych pieśni o królewiczu Marku, które niejednokrotnie słyszał śpiewane i zapisywał ich tekst, a Włoch, towarzyszący mu, nuty.

Inny znów uczony, Samuel Bogumił Linde w latach 1807—1815 ogłaszając pomnikową pracę: „Słownik języka polskiego“, zastanawiał się w nim przy każdym wyrazie nad słownictwem innych języków słowiańskich. Ciekawym bardzo jest głos jego na posiedzeniu 12 grudnia 1807 r. w objaśnieniu swego Słownika, po wyjściu z druku pierwszego tomu. Wykazując bogactwo języka rodzinnego, czem ten język był, czem jest, czem być może i powinien, tak na zakończenie przemówił: „Nie sam tylko język polski zajmuje moją uwagę. Nie spuszczam nigdy z oka pobratymskiej słowiańszczyzny, a tak, oprócz zbliżenia tylu dyalektów, a przez to i ułatwienia z czasem powszechnej słowiańkiej gramatyki i powszechniejszego języka słowiańskiego, znajduję i wskazuję pomoc, bądź do objaśnienia naszej polszczyzny, bądź do wzbogacenia języka, przyswojeniem z innych dyalektów tych wyrazów, których nam niedostaje, bądź do wyłożenia niejednej osobliwości słowiańskiej i odkrycia śladów zwyczajów i opinii“.

Dnia 9 stycznia 1808 odczytał Józef Sierakowki rozprawę o „Mitologii słowiańkiej i dowodach dawności narodu słowiańskiego“. Wykazał w niej, że „naród słowiański w chwili przyjęcia chrześcijaństwa nie był zupełnie nowym i dzikim, lecz musiał już być dojrzałym, skoro równocześnie moralne, proste, ale wielkie myśli do religii mógł przywiązać, co się okazuje z samych wyrazów, na oznaczenie bóstw szczęśliwie użytych“. Ze śladów zwyczajów i obyczajów, oraz z podań starożytnych pisarzy wywiódł nazwy bóstw czczonych przez Słowian np. bożka prawa i sprawiedliwości, Peruna; bożka moralnego świata i mądrej rady, Światowida itd. Zakończył rozprawę temi słowy: „Na każdym kroku wskazówki językowe, ślady charakteru i ducha narodowego, godzą i zbliżają różne licznych autorów opisy, różne podania i zwyczaje, dowodzące niezbicie zamierzchłej dawności narodów słowiańskich“.

Na posiedzeniu 7 kwietnia 1811 r. odczytał Linde list ks. Dobrovskiego, prezesa Towarzystwa królewskiego czeskiego, w którym tenże oświadczył życzenie utrzymywania ściślejszych związków z Towarzystwem warszawskiem i wzajemnej

wymiany pism. Postanowiono przesłać mu Roczniki w zamianę za jego pismo: *Slavia*. Pośrednikiem miał być Linde.

Żywe zainteresowanie członków obudziła na posiedzeniu 5 października 1812 odezwa Wacława Hanki, sekretarza Towarzystwa literackiego w Pradze, zaadresowana do Staszica, w sprawie ujednostajnienia „pisowni dwóch bratnich narodów“. List ten w przekładzie polskim tak brzmi: „Ponieważ zależy nam na tem, aby oba narody nasze mogły rozumieć się wzajemnie, dlatego postanowiliśmy w Towarzystwie naszem, by łacińskie litery jednakowo się po polsku i po czesku pisały. Gdy jednak w polszczyźnie znajdują się dotąd pewne głoski złożone, któreby się dały wyrażać literami pojedyńczemi, a przez to ułatwiły pisownię polską, dlatego zwracamy się do Waszej Dostojności, jako do najznamienitszego w literaturze polskiej męża, byś raczył się przyczynić swym wpływem do zobopólnego zbliżenia się naszych pisowni. I tak: proponujemy, by się pisało *č* zamiast *cz*, *ě* zamiast *ie*, *ř* zamiast *rz*, *š* zamiast *sz*“.

W związku z tem pozostaje charakterystyczny ustęp z przemówienia wstępnego Staszica na walnem zgromadzeniu 10 stycznia 1814 r., w którem zakreślił plan czynności na przyszłość. „W zamiarze udoskonalenia narodowego języka i zasiągnięcia obszerniejszych wiadomości historycznych, starało się Towarzystwo poczynić związki z uczonymi w pobratymskich Słowian narodach. Już one są wszczęte z uczonymi w Illiryi, w Wiedniu, w Petersburgu, w Lipsku i Królewcu i z Towarzystwem czesko-królewskiem w Pradze. Z Czech, uczony Dobrovsky, członek naszego zgromadzenia i królewsko-czeskiego Towarzystwa w Pradze, przesłał nam swoje uwagi, ściągające się do pojednania pisowni w językach czeskim i polskim. Tenże udzielił zgromadzeniu tak dawno pożądaną wiadomość, iż Towarzystwo czeskie odtąd obrało używanie alfabetu łacińskiego. Oby za tym przykładem poszli inni pobratymcy Sławianie, a szczególniej uczeni w narodzie rosyjskim! Ileżby przez to nie ułatwiło się w naukach i umiejętnościach wspólnej pracy, wspólnego oświecenia i zrozumienia w tym wielkim na tej ziemi, najobszerniejszym w Europie, ogromnym Sławian narodzie“.

Na jednem z posiedzeń przed feryami letniemi słuchano referatu Lindego o pracach naukowych Czechów: Dobrovskiego nad etymologią słowiańską, głagolicą, zbiorem przysłów czeskich i gramatyką czeską Kopitara.

W kwietniu 1815 r. zakończyły się obrady kongresu wiedeńskiego, na podstawie których utworzono Królestwo pod władzą Aleksandra. Radość i wdzięczność narodu wyraziła się przedewszystkiem w „Hymnie do Boga“, wydrukowanym w pismach warszawskich nazajutrz po ogłoszeniu odezwy cesarskiej. Ostatnie dwie zwrotki tego wiersza, którego domniemanym autorem jest ks. Woronicz, tak brzmią:

W tym dniu tak świetnym i pełnym swobody,
Co razem łączy dwa bratnie narody,
Które świat poznał i z męstwa i cnoty,
Za których związkiem wiek nastanie złoty,
Spraw, niechaj Polska przez te ogniwa
Żyje szczęśliwa.

Niech mężnych Słowian pobratymskie plemię
Nieszczęsnej Polski odtąd broni ziemie,
A wnuki Lecha, ich prawicą wsparte
Wznoszą ołtarze Twojej chwały warte;
Władzca zaś, co nas pod swój puklerz kryje,
Niech wiecznie żyje.

Znamienniejszym jeszcze objawem bezgranicznej radości narodu z urzeczywistnienia najdroższych pragnień, była broszura Staszica (Pisma, wyd. w Warszawie r. 1816, tom IV. s. 14), w której porównując obojętność kongresu wiedeńskiego dla sprawy polskiej z wspaniałomyślnością Aleksandra I. względem Polski, wezwał rodaków, aby w „złączeniu się w wielkiej, pierwotnej sławiańskiej rodzinie“ szukali odtąd jedynego punktu oparcia dla swego bytu. „Jeden tylko — pisał Staszic — w tem świetnem władców Europy kole, błogosławiony od wszystkich ludów, wzór sprawiedliwości i ludzkości, w sercach Polaków nieśmiertelnej pamięci Aleksander I. stanął obrońcą praw tego Narodu, zawarował zwrot jego bytu, imienia, ojczystej mowy i zachował mu właściwą, nadaną od samego Stwórcy narodowość, nadając ustawę narodową rządu i praw, a przez tę łącząc go z pierwotną jego sławiańską rodziną. Po takim z jednej strony, na tym sławnym narodów sądzie, przez Europę wyrzeczonym względem nas obojętności wyroku, kładnącym na równej szali nasz byt i naszą do szczętu zagubę; po takiem tamże przez naszego Wskrzesiciela i pierwszego naszego po odrodzeniu się króla wskazanem nam przeznaczeniu, w braterstwie z Rosyanami, w złączeniu się w wielkiej naszej pierwotnej sławiań-

skiej rodzinie, nie zapominajcie nigdy kochani współrodacy tych moich do was słów ostatnich: Łączcie się i oświecajcie się!“

Zapał ten wzmógł się znacznie, gdy Aleksander w listopadzie 1815 zatrzymał się w Warszawie. Kiedy podano mu na poduszce klucze miasta, odpowiedział: „Nie przyjmuję kluczy. Nie przychodzę tu jako zdobywca, lecz jako opiekun i przyjaciel wasz, pragnąc wszystkich widzieć szczęśliwymi“.

Dnia 24 listopada miała posłuchanie u cesarza deputacya Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Imieniem członków wyraził cesarzowi hołd S t a s z i c. Ciekawe są końcowe słowa jego przemówienia:

„Tych to samych jeszcze dobroczynnych cnót natchnieniem, przez nadanie nam ustawy narodowego rządu i praw, łącząc naród Polaków z narodem Rosyan, usuwasz Wasza Cesarsko-Królewska Mość wszelką niejedność między tymi dwoma braćmi starszymi wielkiej Słowian rodziny; nie zostawiasz między nimi, tylko ich współbiegania się zawody w rozwijaniu wielkich myśli, które Cię zajmują i dążą jedynie do uszczęśliwienia niezmiernego Sławianinów rodu. Nasze Towarzystwo, Najjaśniejszy Panie, w tym zawodzie uczestniczyć będzie. Wzajemne udoskonalenie dwóch mów pobratymskich, z jednego macierzystego pochodzących języka, wzajemne w nich postępy nauk i umiejętności, staną się owocem nowych między tymi ludami stosunków i związków, które Towarzystwo nasze starannie pielęgnować będzie“.

Dnia 2 stycznia 1816 ukazała się w pismach publicznych warszawskich odezwa do narodu, w której wydawca jej, J ó z e f Z a j ą c z e k, namiestnik Królestwa, przeciwstawiając dawny byt chwiejny (Księstwa Warszawskiego) z nowymi warunkami, opartymi na najlepszej woli wskrzesiciela Królestwa, tak między innemi pisze: „Jasna wam być powinna różnica dawnej i obecnej pewności. Nie domysł, lecz doświadczenie i natura rzeczy stanowi nietykalność obszernej Sławian dziedziny. Rosya na ich czele staje się tarczą waszą. Jesteście bezpieczni jej potęgą; ona — waszą wdzięcznością silniejsza“.

Lepsze warunki polityczne obudziły jeszcze żywszy ruch umysłowy w łonie Towarzystwa. Dnia 12 stycznia 1816 czytano drugą część dzieła prałata C z a j k o w s k i e go. „O p o c z ą t k a c h l u d ó w s ł a w i a ń s k i c h i n a r o d u P o l a k ó w“, szukającego „wszczątku wielkiego Sławian plemienia, a w niem

poczęcia polskiego narodu". W lutym uchwalono zaprenumerować Roczniki i Rozprawy Towarzystwa czeskiego w Pradze. Dla ułatwienia związku Towarzystwa z uczonymi czeskimi, pisma te i dzieła czeskie miano przesyłać na Kraków pod adresem ks. biskupa W o r o n i c z a. W kwietniu t. r. zajęto się rozprawą W a l e n t e g o S k o r o c h o d a M a j e w s k i e g o o języku sanskryckim, wykazującą powinowactwo tego języka ze słowiańskimi.

Stosunki ze Słowiańszczyzną radził nawiązać ks. W o r o n i c z, biskup krakowski, w liście do Towarzystwa z dnia 1 grudnia 1816 r., w którym wykazuje konieczność nawiązania stosunków z Czechami temi słowy: „Chociaż oddalony nowem siedliskiem od uczestnictwa posiedzeń Szan. Towarzystwa, dochowując jednak w obecnej zawsze pamięci chlubny dla mnie zaszczyt należenia do tych grona, którzy pierwsze ogniwo tego znakomitego związku spoili; miałem sobie za najmilszą powinność w oddaleniu nawet rozszerzać sławę, postępy i zbawienne zamiary połączenia się naszego. Jakoż w podróży mojej tegorocznej przez państwo czeskie, zaznajomiwszy się dawniej z wielu uczonymi stołecznej Akademii w Pradze, przeniosłem do ich czucia winny szacunek pracom uczonych naszych kolegów, którzy w szczególności nad ojczystym językiem pracując, d o z b l i ż e n i a d o s i e b i e w s z y s t k i c h g a ł ę z i m o w y s ł o w i a ń s k i e j pierwszy tor przecierają. Przejęci temi uwagami uczeni czescy, ze strony swojej pobratymczą uprzejmość i ciągłe porozumiewanie się w tym widoku przez związek łatwy z Krakowem najuroczyściej przyrzekli, a jeden z nich, ze sławy swojej Towarzystwu naszemu znajomy, ks. J ó z e f D o b r o v s k ý, dziesięć książek, literatury czeskiej tyczących się, na ręce moje do biblioteki Towarzystwa w ofierze złożył".

W czasie od 17 marca do 27 kwietnia 1818 odbywały się wspaniałe obrady polskiego sejmu wskrzeszonego Królestwa. Podniosłe słowa orędzia, zwołującego reprezentacyę senatorów, posłów i deputowanych na obrady sejmowe, tak brzmiały: „Długie nieszczęścia gnębiły Polskę, srogie klęski Ojczyznę Waszą trapiły: lecz połączenie Wasze z bratnim narodem, połączenie, które na przyszłość rękojmią jest Waszego istnienia, przerwało już pasmo tej niedoli; a konstytucya całkiem narodowa, ustawy dobroczynne, wolność szczęśliwie umiarkowana, zagładzą nakoniec ślady tej przedłużonej burzy" i t. d. Łatwo sobie wyobra-

zić, jaki zapał te słowa mogły wzniecić, i jak dodatnio pobudziły do pracy w różnych kierunkach.

Żywe zajęcie obudziło między członkami odezwanie się pod koniec 1818 r. zasłużonego inicyatora badań zamierzchłej słowiańszczyzny, Adama Czarnockiego, który planując odbyć wielką podróż po Rosyi i po innych słowiańskich ziemiach w celu etnograficznego zbadania, zwrócił się do Towarzystwa z prośbą o poparcie. Zarys swego planu podał Czarnocki w zesz. VI. warszawskich „Ćwiczeń naukowych". Pragnął odtworzyć zamierzchły byt prastarej Słowiańszczyzny na podstawie pieśni, podań i pamiątek historycznych. Uroił sobie, że przez zbadanie t. zw. „horodyszcz" będzie można oznaczyć ściśle granice rozsiedlenia się plemion słowiańskich, które jakoby co sto wiosek miały tworzyć odrębne całości. Zamierzał także ściśle oznaczyć główniejsze miejscowe narzecza i różnice domowego bytu Słowian pod względem odzieży, budowy domów, narzędzi rolniczych, pragnął zarazem poznać pomniki piśmienne i tradycyą ludu przekazywane z pokolenia w pokolenie. O wyjednanie zasiłku na te badania zwrócił się zrazu z prośbą do Czartoryskiego. Ten przywiązywał wielką wagę do tego rodzaju badań, przypuszczając, że „ta nauka pojedna plemię żyjące z przodkami i skojarzy nas ściśle z bratnimi ludami, których dawno już nie znamy i w godnem świetle postawi nas wszystkich przed potomnością". Memoryał Czarnockiego przesłał Uniwersytetowi wileńskiemu dla zasięgnięcia opinii o jego wartości. Ale Czarnocki tymczasem, zniecierpliwiony długiem oczekiwaniem, zwrócił się do Tow. Przyjaciół Nauk. To bardzo gorliwie — jak świadczy referat — zajęło się jego planami i uchwaliło wystarać się o zasiłek dla niego, w przekonaniu, „że może sobie zjednać prawdziwą chwałę i wdzięczność wszystkich narodów sławiańskich". Wyrażono tylko życzenie, „aby zbieranie szczątków starożytności sławiańskiej, ile być może, do Sławian pod panowaniem tureckiem siedziby mających było rozciągnione". Marzenia Czarnockiego spełniły się, a opatrzony przez cesarza Aleksandra stałym zasiłkiem rocznym, wybrał się w parę lat później w podróż po Słowiańszczyźnie.

W lutym 1820 r. wszedł w grono członków Wawrzyniec Surowiecki, autor rozprawy pt. „Śledzenie początków narodów słowiańskich". Żył samotnie, utrzymywał jednak stosunki z Hanką i Szafarzykiem. Codzien-

nie można go było widzieć przechadzającego się po alei Jerozolimskiej, zadumanego nad losami przeszłymi i przyszłymi potężnego szczepu słowiańskiego [1]).

Na posiedzeniu 13 marca 1820 r. biskup Adam Prażmowski czytał referat o rozprawie Czajkowskiego: „Pierwsza epoka narodu sławiańkiego“. Według sprawozdawcy, autor, „łącząc Scytów i Traków w jedno plemię, uważa ich za Sławian. Siedlisko pierwszego człowieka kładzie w Indyi. Potomkowie rozeszli się po Azyi wyższej. Byli to Sławianie, choć używali nazwy Scytów. Dalej opisuje ich siedziby i pochodzenie od nich Sarmatów, Traków, przejście do Azyi Mniejszej“.

Na majowem posiedzeniu 1820 r. wstąpił na mównicę Rakowiecki, wydawca *Prawdy ruskiej*, poprzedzonej rysem historycznym zwyczajów, obyczajów, religii, praw i języka dawnych słowiańskich narodów. Ten właśnie wstęp stanowił przedmiot odczytu. Odczyt ten „o stanie cywilnym dawnych Sławian“ rozpoczął mowca słowem wstępnem: „Raczyliście zezwolić, światli mężowie, abym w dniu dzisiejszym, tak dla mnie szczęśliwym, przemówił nieco w przedmiocie nader ważnym, bo mającym szczególniejszy cel waszej pracy, bo interesującym sławę starożytnego Sławian narodu. Nie ośmieliłbym się mówić w przedmiocie tak ważnym, a przez was, uczeni mężowie, już dostatecznie zgłębionym, gdybym nie był pewnym, iż początki mej pracy w zarodzie z pobłażaniem przyjąć raczycie; gdybym nie był pewnym, iż przemawianie w tym miłym dla każdego rodaka przedmiocie, chociażby mniej wymowne i mniej uczone, pobudza jednak jego ciekawość i sprawuje mu to niewysłowione uczucie, które ze wspomnienia swoich czcigodnych przodków w umyśle i w duszy jego żywo jest wzbudzanem“. Zakończył zaś podniośle: „A tak ani czas, ani nadzwyczajne przygody, ani srogie wrogów Sławiańszczyzny usiłowania, nie zdołają zniszczyć plemienia sławiańskiego, które, przetrwawszy już wieki srogości i barbarzyństwa, oraz najsmutniejsze losu koleje, doczekało się w ciągu swego bytu, pod wielkiem i łaskawem berłem Aleksandra I, jednej z najszczęśliwszych epoki“.

Na posiedzeniu 12 marca 1821 r. odczytał Brodziński obszerną rozprawę: „Uwagi nad potrzebą wydania wyboru poezyi dla młodzieży“. Radził, by do zbioru tego

---

[1]) Wielisław, *Bluszcz* 1875 nr. 32.

włączono pieśni narodowe innych narodów i plemion słowiańskich, na wzór tego, „co w Moskwie już 1810 uczynionem zostało“. „Przetłómaczenie ich nader jest łatwe, gdyż język, obyczaje, gust, tak bardzo do naszych są zbliżone“.

W kwietniu 1821 Skorochód Majewski zdał sprawę o piśmie niemieckiem, wydawanem we Wrocławiu przez Krusego: „Archiwum do dawnego ziemiopisarstwa ludów starożytnej Germanii“. Podał on wniosek, żeby utworzono w Towarzystwie osobny oddział, którego zadaniem byłoby zbieranie i ogłaszanie rozpraw lub pism peryodycznych z dziedziny starosłowiańskiej. Oddział ten nosiłby nazwę: „Archiwum Sławiańszczyzny“. Wniosek teñ z uznaniem przyjęto, ale niestety skończyło się tylko na pięknych planach.

Posiedzenie 26 listopada 1821 zakończył Brodziński deklamacyą wiersza pt. „Pobyt na górach karpackich“.[1]) Przytaczam z niego mały wyjątek, bo mówi on bardzo wiele o przekonaniach samego prelegenta, jak również i słuchaczy jego.

Ojcowie setnych plemion po słowiańskiej ziemi,
Gaśnie już pamięć wasza między potomnemi:
Znikną, znikną i oni, jako my zniknęli,
Gdy wieczne zapomnienie od nas ich rozdzieli;
Od Łaby aż do Donu niezmierne przestworza,
Od Karpatów na wschodnie i zachodnie morza,
Rozciągaliśmy niegdyś mirne panowanie,
Czcili pokój i cnotę i walczyli za nie.
Z pieśni pomiędzy sobą szukaliśmy sławy,
Marzanna z wieńczonemi odpływała nawy,
Kłosem złoto zamorskie niwa nam zwabiała,
Z obronnej tylko tarczy wznowiła się chwała.
Jak się dziś przerodziło jednoszczepne plemię?...
Głuche tylko mogiły świadczą jego ziemie,
Już nad Łabą, Wezerą i wśród tylu krajów
Przebrzmiał język, ślad starty dawnych obyczajów.
Jeszcze przestwór ogromny północy i wschodu
Uchował bratni język i znamiona rodu;
Lecz i ten rychle cechę naszorodną straci,
Jeśli zabaczy wspólnych i ojców i braci![2])

---

[1]) *Pisma*. Poznań 1872. I. str. 107.

[2]) Ciężkość, zawiłość, wadliwość tego wiersza każą wątpić, czy wyszedł z pod pióra Brodzińskiego. Może Brodziński deklamował wiersz Staszica? Styl, forma, treść i wreszcie sam tytuł naprowadzają na Staszica, u którego każda podróż karpacka łączyła się z dumaniami o Słowiańszczyźnie. *Przyp. red.*

W r. 1822 wybrano jednomyślnie członkiem-korespondentem Wacława Hankę, bo przedstawił się wszystkim „jako bardzo gorliwy około rozszerzenia wiadomości ważnych dla czeskiego, dla naszego języka i początkowej historyi“.

Tymczasem horyzont politycznych stosunków coraz silniej się zaciemniał z powodu łamania ustawy i ograniczania swobód politycznych. W narodzie nastąpił rozłam dwu pokoleń.

Młode pod wpływem prądów liberalnych z Zachodu pragnęło walki z przeważającą siłą, a w ostrożnych działaniach politycznych starszego pokolenia dopatrywało się objawów filisteryi i tchórzostwa. Ten niepokój narodu, zwłaszcza po śmierci Aleksandra 1825 r., udzielił się i Towarzystwu i osłabił w niem dawną przedsiębiorczość i energię. Prezes jego, Staszic, pozostał wiernym dawnym przekonaniom politycznym. W poglądach swoich na stosunek Polski do Rosyi zawsze zwracał uwagę na wielką przyszłość Warszawy, jako miasta, „przez swoje geograficzne i polityczne położenie przeznaczone być trzecią, a może główną stolicą wielkiego, w jedno ciało zrzeszonego pod jednem potężnem berłem, słowiańskiego rodu“. „Tu się rozstrzygną — mawiał — losy Europy zachodniej. Pozwoliła na rozbiór Polski, musi służyć mocniejszemu. Zaniedbała mieć z Polaków sprzymierzeńców, będzie miała ze wcielonych w Słowiańszczyznę panów. Kość już rzucona. Spajajmy się z Rosyą i oświecajmy. Bierzmy od niej potęgę, ona niech bierze od nas oświecenie“. (Koźmian: Pamiętniki II. 236).

W maju 1826 r. podał Brodziński projekt utworzenia sekcyj naukowych, w których zajmowanoby się życiem umysłowem zagranicy, z uwzględnieniem przedewszystkiem krajów słowiańskich. Stosując się do tego programu prac sekcyjnych, by zawiadamiać kolegów o pracach świeżo wydanych, zwłaszcza w przedmiotach słowiańszczyznę obchodzących, uproszono Brodzińskiego i Bentkowskiego, aby przedstawili sprawozdanie krytyczne z dzieł Szafarzyka i Jungmana, dotyczących literatury słowiańskiej, a niedawno ogłoszonych.

W lutym 1827 zamianowano członkami-korespondentami: Szafarzyka i Jungmana. Popierając ich kandydatury, tak wyraził się Brodziński w dwu listach do Towarzystwa: „Jungman jest znawcą i wielbicielem literatury polskiej i sam dzieci swoje polskiego uczy języka. Sądzę, iż członek taki będzie gorliwym i użytecznym korespondentem Towarzystwa“. „Przyj-

mując p. Szafarzyka na członka, odda Towarzystwo sprawiedliwość zasłudze, ale nadto mieć będzie gorliwego korespondenta w krainie Słowaków, w której dotąd związków naukowych nie mamy“.

W marcu 1828 referował Brodziński o pismach peryodycznych Muzeum narodowego czeskiego.

W maju 1828 r. zagaił zgromadzenie Niemcewicz. Tą razą wyszedł z roli, jaką odgrywał w społeczeństwie, zdecydowanego oponenta systematu rządowego. Przemówieniu swemu nadał charakter polityczny, zwąc cesarza Mikołaja „Cezarem Sławian“. Warto sobie zapamiętać choć tych kilka myśli z jego przemówienia: „Miło jest widzieć, jak wszędy pobratnie nam ludy sławiańskie z nową usilnością biorą się do nauk i sztuk pięknych. Najsilniejsze w potędze, najrozleglejsze w granicach swoich państwo rosyjskie, w miarę możności swoich okazuje się gorliwem w poszukiwaniu pamiątek ojczystych dziejów i mowy sławiańskiej. W Czechach zawiązało się Towarzystwo, wydoskonalenie języka i zachowanie starożytności ojczystych mające na celu. Muzeum narodowe czeskie przysłało nam już dzieła swoje w tych treściach p. t.: „Časopis společnosti wlastenského Muzeum w Čechach“. Po wszystkich ludach sławiańskich wszędy jedna okazuje się gorliwość. Serwianie nawet, pod rządem nieprzyjaznym wszelkiej oświacie, wieszczym poddają się natchnieniom. Wyszło z druku dzieło p. t.: „Narodne serbskie pisma“ przez Wuka Stefanowiča Karadziča“....

W styczniu 1829 r. Łukasz Gołębiowski odczytał nadesłany sobie przez Andrzeja Kucharskiego list o madiaryzacyi Słowian. Przebywał podówczas ów slawista w Zagrzebiu, dokąd był wysłany przez władze edukacyjne celem kształcenia się w filologii słowiańskiej dla przygotowania się do objęcia katedry języków i literatur słowiańskich w uniwersytecie warszawskim. O zwiedzanych przez siebie miejscowościach nadsyłał korespondencye do *Gazety Polskiej*.... i tu urywa się wątek naszego przeglądu.

Kres dalszym pracom Towarzystwa położył niebawem ukaz carski, rozwiązujący je.

* * *

Podałem suchą tylko kronikę garści wspomnień dziejowych. One tak wymowne, że nie potrzeba komentarza!

Słowianofilstwo polskie starszej jest daty, niż się powszechnie sądzi. I pogodzenia z Rosyą na tle słowiańskiem już przodkowie nasi próbowali....

Sunt lacrymae rerum....

zebrał *Edmund Kołodziejczyk.*

RUCH MŁODOKASZUBSKI.

Kwestya kaszubska istnieje tak dawno, jak germanizacya szczepu pomorskiego, lecz dopiero przed 50 z górą laty Cejnowa pierwszy stwierdził jej istnienie. Ale rozwiązania jej szukał na błędnej drodze i kierunek jego upadł [1]).

Akcyę Cejnowy zastąpiono następnie przez akcyę skrajno-polonistyczną, która była właściwie reakcyą poprzedniej. Główną wytyczną tego prądu stanowiła i dotychczas stanowi myśl zupełnej jednolitości kulturalnej i społecznej między ludem kaszubskim a polskim, że więc kwestya kaszubska nie różni się niczem od kwestyi polskiej n. p. na Śląsku lub Mazurach, że tutaj jak i gdzie indziej zwalczać trzeba napór germanizmu tym samym środkiem t. j. kulturą ogólnopolską. Wszystko, co rozwojowi jej mogło stać w drodze, trzeba usuwać, a więc różnice językowe, społeczne, kulturalne zacierać lub ignorować, innemi słowy: wyniszczyć kulturę ludową.

Akcya skrajno-polonistyczna nie pozostała jedynie akcyą oświatową, lecz przeobraziła się niemal zupełnie w ekonomiczną. I tutaj zastosowano hasło: enrichissez-vous, co we Wielkopolsce tak skuteczne się okazało we walce z germanizmem. Słusznie powiedziano sobie, że jedynie namacalne korzyści materyalne, mianowicie usamodzielnienie ludności kaszubskiej pod względem finansowym zdoła ją przekonać o przewadze kultury polskiej. To przypuszczenie jest tutaj psychologicznie uzasadnione, gdyż Kaszubi są bodaj największymi realistami ze wszystkich ludów polskich. Niemal jak grzyby po deszczu wyrastały teraz na Kaszubach rozmaite instytucye finansowe i kupieckie, jakoto banki ludowe, spółki, „Rolniki“, „Kupcy“, założone i prowadzone przeważnie przez inteligencyę pochodzącą z sąsiednich Prus i Księstwa Poznańskiego, mniej przez inteli-

[1]) Zobacz o Cejnowie zeszyt nasz z marca 1909, str. 207. *(Przyp. Red.).*

gencyę rodzimą. Stosownie do geograficznego położenia poszczególnych, że tak powiem, dzielnic kaszubskich, utworzyły się na terytoryum kaszubskiem pewne środowiska ekonomiczne, jakoto: Brusy, Kościerzyna, Stężyca, Sierakowice, ostatecznie i Kartuzy, — na północnych Kaszubach natomiast Gdańsk, Sopot, Wejherowo. Korzyści tego ruchu ekonomicznego są namacalne, i to nietylko materyalne, ale i idealne, mianowicie, że wskutek usamodzielnienia finansowego wzrosło u Kaszuby poczucie godności własnej, a zmalał przesądny serwilizm wobec organów policyjnych rządu pruskiego; z drugiej strony nastąpiło także pewne zbliżenie między Kaszubą i Poznańczykiem. Ale i bezpośrednio wpływają te środowiska kulturalnie na lud kaszubski, gdyż personal tam zatrudniony bierze udział w towarzystwach, urządza zabawy, przedstawienia teatralne i t. d.; młodzież zaś kaszubska, ucząca się tutaj kupiectwa, znajduje najlepszą szkołę polską.

Mimoto błędnem byłoby przypuszczenie, jakoby wobec takich sukcesów ten ruch polonistyczno-ekonomiczny był jedynie zdolen rozwiązać kwestyę kaszubską!

Ten rozwój ekonomiczny na Kaszubach nie pozostaje bowiem wcale w normalnym stosunku do postępu kultury i oświaty u tego ludu samego. Na Kaszubach ruch ten leży przeważnie w ręku inteligencyi przybyłej z poza Kaszub, a nie, jak jest np. w Księstwie, w ręku tutejszych, czyli że na Kaszubach niema organicznego związku między ruchem ekonomicznym, a ludnością samą[1]). Ludność kaszubska trzyma się tych instytucyi siłą faktów, siłą materyalnej korzyści. Że ten ruch ekonomiczny nie jest kwiatem kultury polskiej, wyrosłym wprost z ludu kaszubskiego, o tem świadczy fakt, że młodzież kaszubska, kształcąca się w wyższych szkołach i dzisiaj jeszcze przeważnie się niemczy.

Obok tego ruchu ekonomicznego zaznacza się właśnie w ostatnich latach nowy, zwany „młodo-kaszubskim“. Spowodowały go trzy czynniki: 1) przesadne ignorowanie kultury ludo-

---

[1]) Związek ten może jednak nastać. Często jedna prowincya daje w drugiej inicyatywę do czegoś. Tak np. przypływ Wielkopolan oddziałał na ruch ekonomiczny w Galicyi, podczas gdy Polacy z Galicyi zapładniają ruch naukowy i literacki w innych prowincyach. Takie oddziaływanie przybyszów z innej prowincyi jest zjawiskiem n a d z w y c z a j p o s p o l i t e m w dziejach w s z y s t k i c h narodów. Ludność „tutejsza“ danej prowincyi idzie zazwyczaj dopiero w drugiem pokoleniu za przykładem danym przez rodaków-przybyszów.

Przyp. Red.

wej ze strony inteligencyi immigrowanej, 2) spór uczonych o język kaszubski, a aspiracye rządu pruskiego do ludności kaszubskiej z jednej strony, z drugiej zaś niezdolność obrony w kwestyi językowej u inteligencyi immigrowanej, 3) fakt naturalny, że przyszłość kulturalna ludności powinna leżeć w ręku inteligencyi jak najbardziej temu ludowi swojskiej, mającej wyrozumienie i serce dla tego ludu. Dla powyższych przyczyn idee młodo-kaszubskie dosyć długo nurtowały u ludności kaszubskiej, jakkolwiek na jaw wystąpiły dopiero pod wpływem pewnych drobnych faktów.

Niemiecki uczony Dr. Lorentz, zasłużony badacz kaszubszczyzny, założył w r. 1905 towarzystwo niemieckie dla ludoznawstwa kaszubskiego, do którego tłumem przystępowali szczególniej nauczyciele wiejscy. Podobnie utworzył się w Gdańsku „Verein Danziger Künstler“, który bada i wyzyskuje wzory kaszubskiej sztuki ludowej dla sztuki niemieckiej; nareszcie utworzenie muzeum kaszubskiego we Wdzydzach.

Wszystkie te przedsięwzięcia znalazły skuteczne poparcie u rządu. Najjaskrawiej wyszły na jaw intencye rządu, gdy dał nauczycielom wiejskim pozwolenie rozmawiania po kaszubsku. Wskutek tego obawiano się, że pielęgnowanie pierwiastków kulturalnych kaszubskich ze strony rządu i Niemców, a uporczywe ignorowanie ze strony polskiej, popchnąć może Kaszubów w objęcia mniemanych dobrodziejów, Niemców. To dało powód do założenia miesięcznika *Gryfa*, poświęconego sprawom kaszubskim, który dzisiaj przeszedł w ręce „spółki wydawniczej“ (E. G. m. b. H.) [1]). Redakcyę, jak przedtem tak i nadal prowadzić będzie Dr. Majkowski z Kościerzyny. Około tego organu grupuje się cały szereg młodych pracowników z rodzimej inteligencyi. [2])

Ruch ten młodo-kaszubski uważa, tak samo jak przedtem, kwestyę kaszubską za kwestyę kultury polskiej na Kaszubach, wychodząc ze założenia, że mimo istniejących bądźcobądź różnic, ostatecznie wszystko, co kaszubskie, jest też polskiem. Jedynie w sprawie rozwiązania kwestyi kaszubskiej ma odmienne zdanie od poglądu, który nazwaliśmy polonistycznym.

Rozrost kultury polskiej na Kaszubach wtenczas jedynie

---

[1]) „Eingeschriebene Genossenschaft mis beschränkter Haftung“.

[2]) Bliższą wiadomość o *Gryfie* zob. zeszyt nasz z lutego 1909, str. 121.

uważa za normalny i zdrowy, jeśli się go nawiąże do przejawów rodzimej kultury ludowej. Aczkolwiek ruch ten ma na oku całokształt sprawy kaszubskiej i stàrać się będzie, by idee młodokaszubskie opanowały także życie społeczne, to na razie może najważniejszem jego zadaniem jest praca informacyjna i pedagogiczna, a mianowicie: sprostowanie i przeobrażenie złej opinii o Kaszubach, badanie rzeczy kaszubskich i polemika w sprawie języka, nareszcie wyrobienie charakteru kaszubskiego i wzbudzenie dumy szczepowej.

Ruch młodo-kaszubski, jako ruch kulturalny, mający na celu dorzucenie cegiełki kultury swojskiej do wielkiego gmachu kultury polskiej, jest sam w sobie rzeczywiście uzasadniony; pomimo to zaprzecza się mu ze strony „polonistycznej“ racyi bytu. Zarzuty podniesione streścić można w następujące zdanie: Gdyby pracę ratunkową na Kaszubach oparto na zasadach młodo-kaszubskich, to nim ideały młodo-kaszubskie przenikną lud, tymczasem większa część Kaszub napewno byłaby zgermanizowana. Więc jako ruch kulturalny uznaje go się, lecz pod względem politycznym odmawia się mu wszelkiej wartości. Na zarzut ten, albo raczej na to twierdzenie dzisiaj mało co jeszcze można odpowiedzieć, chyba to, że dziwić się nie trzeba, że „młodo-Kaszubi“ niechcą się wyzbywać kultury rodzimej i w niej widzą wielką doniosłość nietylko pod względem kulturalnym, ale i politycznym, tj. uważają ją za tarczę przeciwko germanizacyi. Czy rzeczywiście skromna kultura rodzima kaszubska posiada tę doniosłość, tego jeszcze faktami nie dowiedziono. Natomiast faktem jest, że tam, gdzie lud kaszubski zarzuca swe właściwości, rozpościera się niemczyzna. Słuszność zdania młodo-Kaszubów dopiero wtenczas się wykaże, gdy ruch ten będzie miał cały szereg lat pracy za sobą.

Zresztą błędnem jest zdanie, jeśli się przypuszcza, że ruch młodo-kaszubski jest reakcyą skierowaną przeciwko kierunkowi „polonistycznemu“, że go zupełnie wyklucza. Jest on przeciwnie naturalnem u z u p e ł n i e n i e m tego ruchu, wskazuje drogę do duszy kaszubskiej, której ruch skrajno-polonistyczny znaleść nie potrafił lub nie chciał. *Janowicz.*

„WELEHRADZKIE UTOPIE“.

W chwili [1]), kiedy na „posvátnym Velehradě“ zbierał się II. zjazd teologów, interesujących się kwestyą wschodnią, na stronicach *Świata Słowiańskiego* czytaliśmy przestrogę przed „rojeniami i utopiami velehradzkiemi, jako wręcz szkodliwemi i dla Słowian niebezpiecznemi [2])“. Autor przestrogi może i nie miał na względzie projektowanego w tym czasie zjazdu, słowa jednak jego łatwo mógł ktoś zastosować i do zjazdu samego i do dyskutowanych na nim zagadnień. Ci z pomiędzy czytelników *Świata Słow.*, których interesują kwestye wschodnio-kościelne, mają sposobność, na podstawie licznych artykułów i wzmianek temu przedmiotowi poświęconych, utworzyć sobie pojęcie o pochodzeniu „kierunku velehradzkiego“, jeśli go tak nazwać się godzi, tudzież o jego istocie, zadaniach, metodzie; wobec jednak świeżej przestrogi, którą mógłby ktoś wziąć za jakąś nową rewelacyę z tej dziedziny, rzucającą cień na wartość „kierunku“, nie od rzeczy będzie powrócić jeszcze raz do tej kwestyi w celu jej bliższego wyjaśnienia.

Najpierw wstępna uwaga. Autor przestrogi, stojący daleko od ruchu velehradzkiego, wziął, jak się zdaje, pisemko w języku rosyjskim *Velegradskij Věstnik* za organ oficyalny „unionistów“. Tymczasem zaszło tylko nieporozumienie. Mianowicie *Velegr. Věstnik* bynajmniej nie jest organem ani zjazdów teologicznych, ani wogóle większości tych teologów, którzy kierunek velehradzki reprezentują. Powstało ono z inicyatywy i kosztem pewnego morawskiego kapłana, pragnącego zainteresować kwestyą wschodnią zachodnich Słowian, przedewszystkiem księży, a zarazem zachęcić ich do przyswojenia sobie języka rosyjskiego, bez którego studyowanie kwestyi wschodniej nie jest możliwem.

---

[1]) Umieszczamy chętnie niniejszy artykuł, polemizujący z jednym ustępem artykułu naszego z poprzedniego zeszytu („O cerkwi wschodniej i ruchu katolickim na Rusi“), bo przyczynia się znakomicie do wyświetlenia przedmiotu. Niektóre zawarte w nim wyjaśnienia są wprost „złota warte“, jak n. p. o *Velegradskim Věstniku*, który uważają powszechnie za oficyalny organ welehradzkiego prądu — co też stało się główną przyczyną nieporozumienia. *(Przyp. redakcyi).*

Następne przypiski pochodzą od autora niniejszego artykułu.

[2]) Por. *Świat Słow.* Sierpień-Wrzesień 1909. Str. 105—107.

Do powagi naukowej *Věstnik* pretensyi sobie nie rościł; przeszkadzają temu zresztą i objętość (kwartalnik o 20 str.) i treść artykułów. Pisemko to wygląda raczej na niewinną zabawkę, niż na poważny organ, i dlatego nie powinno było w nikim wzbudzać poważnych obaw. Na samym zjeździe teologicznym w Velehradzie wyrażono zdanie, że pisemko to nie jest ani potrzebne, ani nawet zamierzonego przez wydawcę celu osięgnąć nie może. Kto bowiem zechce przyswoić sobie język rosyjski (a każdy teolog czy historyk, badający cerkiew wschodnią, język ten posiadać musi), ten będzie się uczył rosyjskiego w pisowni powszechnie przyjętej i bynajmniej nie z *Věstnika.* Zawartość jego, składająca się przeważnie z drobiazgów i przedruków, również nie wieleby się przyczyniła do poznania kwestyi wschodniej. Czy wydawca zechce się do tych uwag zastosować, czy nie — to jest jego rzeczą; w każdym razie, mówiąc o „ruchu velehradzkim", pisemka tego pod uwagę brać nie należy. Stąd i wystąpienie autora przestrogi moglibyśmy zupełnie pominąć milczeniem, gdyby nie zachodziła obawa, że przez to dziwne nieporozumienie może być dyskredytowanym ten ruch, którego wyrazem są velehradzkie zjazdy teologów.

Są ludzie, którzy wszędzie szukają wielkiej polityki, stąd i w zjazdach teologicznych na Velehradzie dopatrują się motywów politycznych, mianowicie panslawistycznych. Dziś, kiedy zeszłoroczny neoslawizm zrobił fiasko, a w Rosyi pokutują wciąż cienie panslawizmu starej daty, słowiańska marka zjazdów velehradzkich budzi może w jednych niesmak, w drugich podejrzenia. I jedno i drugie niesłuszne. Teologowie, badający kwestyę wschodnią, oczywiście nie mogą pominąć Rosyi, która stanowi 80% zwolenników schizmy greckiej. Za patronów swoich z wielu racyi przyjmują św. Cyryla i Metodego, a za miejsce obrad domniemane miejsce ich działalności i to nadaje zjazdom pewien pozór „wszechsłowiańskości". W rzeczywistości zaś, jeśli o pierwszym zjeździe z roku 1907 można było rozmaicie sądzić pod tym względem, to zjazd tegoroczny nie przedstawia żadnych wątpliwości, że był on zjazdem nie słowiańskim tylko, ale zjazdem międzynarodowym wszystkich, kogo interesuje kwestya wschodnia, i z polityką żadną, czy to panslawistyczną, czy „austrosławofilską", czy antyniemiecką, czy jakąkolwiek inną związku żadnego nie miał i mieć nie chciał. Wyraźnie zaznaczył to przy otwarciu zjazdu Najdostojniejszy jego prezes, ks. Metropolita

Szeptycki, i od programu czysto religijnego ani na chwilę nie odstąpiono. Brali w tym zjeździe udział czynny, obok Słowian rozmaitych narodowości (Polaków, niestety, było zbyt mało), także Francuzi, Włoch, Grek, Rumuni i Niemcy. Językiem obrad i odczytów był język łaciński. Dla rosyjskiego zrobiono wyjątek ze względu na jednego prelegenta Rosyanina, który łaciną nie włada na tyle, aby w niej mógł wygłosić swój odczyt; jeden znowu z polskich prelegentów przemawiał po polsku. Żadnych panslawistycznych sympatyi najwprawniejsze oko dopatrzyćby się nie mogło w działalności zjazdu. Żadnych celów ubocznych oprócz ściśle teologiczno-naukowych i kościelnych zjazdy velehradzkie teologów sobie nie stawiają, choć można przypuścić, że pomyślne rozwiązanie kwestyi wschodnio-kościelnej nie wyszłoby na szkodę całej Słowiańszczyzny.

Wykluczając ze swej działalności wszelkie tematy i motywy polityczne, velehradzkie zjazdy teologów, jeśli nie pomijają zupełnie, to przynajmniej usuwają na dalszy plan jakąkolwiek bezpośrednią akcyę, zmierzającą ku zaprowadzeniu w Rosyi unii Cerkwi odszczepionej z Rzymem, lub jakibądź inny sposób propagandy katolicyzmu na Wschodzie. Połączenie Kościołów — to daleki ideał, to światło przewodnie prac velehradzkich, zjazdy jednak ani nie są powołane do podjęcia jakiejś bezpośredniej w tym kierunku akcyi, ani nie rozporządzają potrzebnemi do tego zasobami, a choćby i jedno i drugie się znalazło, to olbrzymia większość uczestników tych zjazdów zbyt dobrze ocenia sytuacyę, by się mogła łudzić, że unia kościelna jest łatwą i możliwą do przeprowadzenia w bliższej przyszłości, lub że w Rosyi nadszedł czas wzmożenia akcyi apostolskiej. Zjazdy więc velehradzkie, to bynajmniej nie zjazdy misyonarskie i ich akcya— nie mobilizacya sił zbrojnych w celu wyruszenia na wroga. Stąd nie powinno nikogo dziwić, jeżeli w Velehradzie lub w pismach, ruchowi temu służących, nie słyszy wojennej pobudki, jeśli tam nie podkreśla się bardzo grawaminów przeciw schizmatyckiej robocie, jeśli się chłodno notuje nawet takie fakta, jak odpadnięcie katolików do schizmy. Wszystko to nie może służyć za jakąś wskazówkę sympatyi unionistów do cerkwi wschodniej odłączonej i jej działalności. Poprostu jest to dziedzina, którą ani zjazdy teologów w Velehradzie, ani ich prace piśmienne zajmować się nie mogą. Z tegoż samego powodu tegoroczny zjazd uchylał się i od roztrząsania niektórych praktycznych wniosków,

wkraczających w zakres dyscypliny i zarządu kościelnego, lub też działalności wyższych władz kościelnych względem Wschodu.

Praca zatem „velehradczyków“ jest pracą więcej teoretyczną, naukową i odnośnie do unii tylko przygotowawczą. Że rozdział Kościołów jest złem z wielu względów, z tem każdy się chyba zgodzi; że dążyć należy do usunięcia zła — o tem również dwóch zdań być nie może. I kościół rzymski nigdy nie przestawał wyciągać ręki do zgody, głos papieży nawołujących wschód do jedności nie milknie ani na chwilę; podejmowane są i prace misyjne przedewszystkiem na wschodzie greckim, i jeżeli usiłowania te, podejmowane często w różowym optymiźmie, nie wydają spodziewanych wyników, to obok wielu innych przyczyn pochodzi to i stąd, że schizma nie kończy się na różności obrządków, ale opiera się głębiej w różność kultur, w rozbieżność interesów, w zadawnione antagonizmy. Te okoliczności nie zawsze brane były w rachubę, a przeoczanie ich sprowadzało niemiłe zawody. Otóż velehradczycy, zamiast głosić natychmiastową krucyatę na wschód, uznają za rzecz konieczną najpierw zbadać teren, poznać stronę przeciwną, zrewidować swoje własne o niej wyobrażenia, zastanowić się, azali nie da się znaleźć jakiegoś punku wyjścia do porozumienia. W tym celu powstało lat temu kilka czasopismo *Slavorum litterae theologicae*, poświęcone przeglądowi literatury teologicznej w krajach słowiańskich; tejże myśli odpowiadają coraz częstsze monografie w różnych językach, dotyczące kwestyi spornych, temuż celowi ma służyć i Akademia velehradzka, towarzystwo, jakie na tegorocznym zjeździe postanowiono powołać do życia.

Studyum kwestyi wschodnio-kościelnej tak ze strony dogmatycznej, jak historycznej, prawnej — oto cel bezpośredni ruchu velehradzkiego. Do jakich praktycznych wyników on doprowadzi, dziś przesądzać jeszcze nie czas; w każdym razie naukowa ta praca nie pozostanie bezowocną dla wielkiego dzieła zjednoczenia Kościołów, jeśli ono ma się kiedyś w jakiejkolwiek formie dokonać.

Widzimy więc, że niema powodu przypuszczać, że velehradczycy „przyznają równoznaczność i równorzędność obu wyznań, gotowi są do szeregu ustępstw i to bardzo realnych na rzecz cerkwi wschodniej“, albo, że się „zrzekają dobrowolnie przedmiotu

tylu zaciekłych walk teologicznych, ograniczając się do zjednoczenia tylko duchowego obu Kościołów“ i t. d. i t. d. [1]).

Velehradcy, stojąc ściśle na gruncie katolickim, od wielu praktycznych rzeczy poprostu abstrahują, uważając, że pierwszym ich obowiązkiem przygotowywać naukowo grunt pod praktyczną akcyę. Że przytem nawołują i siebie wzajemnie i innych do łagodnego w duchu miłości Chrystusowej traktowania i sądzenia przeciwnej strony, do wyrozumiałości dla błądzących, z których zapewne ogromna większość, może nawet ci, co bardzo wojowniczo względem katolicyzmu występują, trwają w błędzie nieświadomie, a zatem niepoczytalnie, — to również nie dowód solidaryzowania się z błędem, ale tylko uprzytomnienia sobie przestróg Apostoła, że nienawiść zaślepia i że choćbyśmy mieli wszystką wiarę, tak, że góry byśmy przenosili, a miłościby nam nie stało, niczem bylibyśmy. Z tego pogodnego, irenicznego usposobienia nie wytrąci velehradczyków nawet taka zaciekła akcya przeciwko katolicyzmowi, na jaką obecnie w Rosyi patrzymy. Poczajów nigdy dla nich szkołą taktyki nie będzie.

Nie ulega wątpliwości, że uczestnicy velehradzkich zjazdów i wogóle wszyscy interesujący się kwestyą wschodnio-kościelną posiadają pewne poglądy i co do konkretnej formy połączenia Kościołów, jakkolwiek samo zjednoczenie stoi na dalszym planie ich prac, przyświecając im raczej jako ideał w ich żmudnej przygotowawczej robocie. Nie zamierzając w tej sprawie zabierać głosu w imieniu velehradczyków, chcemy wypowiedzieć swoje własne w tej mierze poglądy, z którymi zsolidaryzuje się zapewne i znaczna liczba velehradzkich teologów. Otóż po pierwsze, wszyscy, którzy wierzą w Chrystusa i kochają jego przykazania, pragną unii, czyli połączenia cerkwi wschodniej i zachodniego kościoła w jedną społeczność chrześcijańską. Idą w tem za pragnieniem Założyciela Kościoła, który w swej modlitwie przedśmiertnej błagał Ojca, aby wszyscy byli jedno. Ale nie zdarzyło mi się spotkać ani jednego katolickiego teologa, ani między velehradzkimi, ani gdzieindziej, któryby zapatrzony w ten

[1]) Te z punktu prawowierności katolickiej dość ciężkie zarzuty chętnie darujemy ich autorowi, jeśli je ograniczy do samego *Vel. Věstnika*, a raczej jedynego w nim listu pewnej hrabiny, hellenofilki, doradzającej zaniechać wszelkiej propagandy katolicyzmu na wschodzie, by nie drażnić Greków.

ideał, zapominał się do tego stopnia, iżby przyznawał „równorzędność obu wyznań“, chyba, że przez „wyznanie“ mamy co innego rozumieć, aniżeli ten wyraz oznacza. Jeśli chodzi o „wyznanie“, to każdemu dobrze wiadomo, że prawda objawiona jest tylko jedna, Kościół prawowity może być tylko jeden, a zatem w dogmatach, stanowiących wyraźnie określony depozyt wiary, żadnych kompromisów być nie może i żaden teolog katolicki, dopóki katolickim pozostanie, ani z jednego dogmatu ustępstwa na rzecz wschodnich wymagań nie uczyni. Stąd do zadań teologów velehradzkich należy zbierać skrzętnie dowody na poparcie tych dogmatów, które kwestyonują wschodni, i to przeważnie poszukując ich w źródłach wschodnich, aby prawdę katolicką uczynić łatwiejszą do przyjęcia na wschodzie.

Ale oprócz dogmatów dzielą nas obecnie na dwa obozy liczne opinie teologiczne, będące interpretacyą lub dalszą konkluzyą z dogmatów, wspólnych nawet obydwom Kościołom. Takie różnice teologiczne wyłaniały się i wyłaniają i w obrębie samego katolicyzmu, znajdując wyraz w rozmaitych szkołach teologicznych. Otóż można zrobić przypuszczenie, że istnieją jakieś interpretacye i opinie teologów wschodnich, które jakkolwiek nieznane dotąd zachodnim, dadzą się jednak pogodzić z dogmatem katolickim, i stąd drugiem zadaniem teologów naszych jest wyszukać tę furtkę, którąby dało się wprowadzić tego rodzaju opinię do katolickiej teologii, dając jej prawo, jeśli nie obywatelstwa, to gościnności w naszych szkołach, z wykazaniem nawzajem wschodnim teologom, że i oni mogą tolerować na wspólnym gruncie dogmatu nasze partykularne opinie. Takie „realne“ ustępstwa na rzecz cerkwi wschodniej czynił już sobór florencki r. 1439, naprzykład w kwestyi kar czyścowych, i takich ustępstw może i więcej da się zrobić, czego jednak z góry przesądzać nie można. W każdym jednak razie tendencya sprowadzenia do minimum punktów spornych należy do zasadniczych prawideł teologii, zwanej ireniczną.

Dalej natrafiamy na kwestyę obrządkową. Tutaj bez względu na to, jakiemi są czyjeś osobiste sympatye, najczęściej zależne od wychowania i przyzwyczajenia, dla teologów velehradzkich i nievelehradzkich miarodajnemi muszą być wskazania Stolicy Apostolskiej, która w swych uroczystych aktach i w prawodawstwie, dotyczącem wschodu, wciąż powtarza, że pragnie zachować dla wschodu obrządek wschodni, na który się składa nietylko liturgia

i język, ale i pewne odrębne zwyczaje i różnice w karności kościelnej. Co do tej strony życia kościelnego, wolno każdemu uznawać równorzędność wschodniego i zachodniego „wyznania“, bo taką równorzędność uznaje i Kościół rzymski. I unia, której większość przynajmniej velehradzkich działaczy pragnie, polega na tem, że Kościoły wschodnie, dziś jeszcze odłączone od Rzymu, uznałyby supremacyę papieża i jego dogmatyczną nieomylność, w następstwie zaś tego przyjęłyby wszystkie dogmaty, które Kościół rzymski określił, ten zaś ze swej strony zapewniłby wschodowi nietykalność obrządku, zwyczajów nie sprzeciwiających się dogmatom i pewną mniejszą lub większą autonomię urzędu kościelnego. Na takich podstawach były niegdyś przed schizmą focyańską połączone ze sobą wschodnia i zachodnia część Kościoła, taż sama zasada przyświecała unii florenckiej, brzeskiej, unii Ormian, Maronitów, Melchitów, i kierunek velehradzki nie wprowadza tu absolutnie nic nowego. Może się to komuś nie podobać, lecz na gusta niema rady; zawsze jednak pozostanie prawdą, że zbyt ciasny ma pogląd na „katolickość“, czyli powszechność Kościoła Chrystusowego, kto go utożsamia z obrządkiem łacińskim i w nim go zamyka. Różność obrządków, według Leona XIII., nietylko nie niszczy jedności kościelnej, lecz ją raczej stwierdza i Kościołowi ku ozdobie służy [1]).

Stąd słusznie wnosić należy, że unia nie jest jakimś wymuszonym na papierach kompromisem, jakąś z ich strony czystą tolerancyą wschodnich obrządków z konieczności, a obietnice stolicy świętej, dotyczące zachowania tychże obrządków, nie są żadnym manewrem podstępnym, wciągającym łatwowierny wschód na most, prowadzący do latynizmu, jak to wielu wrogów Kościoła, a czasem i niektórzy katolicy utrzymują. Tak sądzić, to znaczy przypisywać obłudę stolicy świętej, czego przynajmniej katolikom nie godzi się czynić; pragnąć zaś i dążyć do tego, aby unia była tylko mostem, aby praktyka przeczyła zapewnieniom Rzymu — to znaczy dyskredytować w samym zawiązku dzieło zjednoczenia. Zatem z kościelnego, z całą tradycyą zgodnego, punktu widzenia możemy uważać zasadniczą tę kwestyę za rozstrzygniętą i nie

---

[1]) „Siquidem in rituum orientalium conservatione plus inest, quam credi possit, momenti. Augusta enim, qua varia ea rituum genera nobilitantur, antiquitas et praeclaro est ornamento Ecclesiae omni, et fidei catholicae divinam unitatem affirmat“. Encyklika 30 listopada 1894 r.

podlegającą dalszej dyskusyi. Pozostaje nam tylko rozważać mgły pewnych wątpliwości, pokutujących w uprzedzonej opinii.

Mówią tedy najpierw, że unia taka, jaką opisaliśmy, jest mrzonką: Wschód nigdy na nią nie przystanie. Na to jedna odpowiedź. Co wschód uczynić zechce, to jego rzecz; naszem zadaniem postawić jasne zasady i konsekwentnie z niemi postępować. *Clara pacta claros faciunt amicos.* Zresztą nie odpowiadajmy w imieniu przyszłości. I ja dość sceptycznie patrzę na entuzyastów, widzących już-już, jeśli nie wschodzące słońce, to przynajmniej jutrzenkę zjednoczenia religijnego. Można trzeźwo patrzeć na rzeczy, a pomimo to wiedzieć i wierzyć, że ręce Boże dokonują rzeczy na nasz sąd niemożliwych. W dodatku pamiętajmy, że unia już istnieje i w rozmaitych obrządkach wschodnich liczy przeszło 6 milionów wyznawców i łatwo, przy zmianie warunków politycznych, ciążących nad wschodem, może liczyć na akces, jeśli nie całych wielkich odłamów schizmatyckich, to przynajmniej pewnych grup lub choćby licznych jednostek. Utrudniać tym grupom czy jednostkom powrót do prawdziwego Kościoła, stawiając im za warunek porzucenie nietylko błędu, ale i obrządku, który sam przez się jest dobry i do którego może przylgnęło ich serce, znaczyłoby brać na się wielką odpowiedzialność za tych, których taki radykalizm mógłby odstraszyć od drogi nawrócenia. Tego Kościół na siebie nie weźmie.

Pytają dalej przeciwnicy unii, jakiż z niej pożytek dla samych zjednoczonych? Czy takie pojednanie z Kościołem nie jest czystą formalistyką, nie zmieniającą po stronie wschodniej w niczem jej „treści religijnej“? Oczywiście, jeśli za treść religijną uważać zewnętrzne formy kultu, to unia nie wiele zmienia pod tym względem. Dla nas jednak „treścią religijną“ jest co innego. Jest nią po pierwsze prawda objawiona i w dogmatach streszczona i określona, i tę prawdę w całości unia przynosi wschodowi. Jest nią dalej wzmożone życie łaski, tryskające z normalnie szafowanych sakramentów i z rozmaitych pomocniczych źródeł, jakie Opatrzność Kościołowi prawdziwemu stosownie do potrzeb czasu i okoliczności otwiera w postaci nowych zakonów, bractw i praktyk pobożnych, a to właśnie normalne szafowanie środków uświęcających i udział w świeżych strumieniach zdrojów Zbawicielowych zapewnia unia swoim wyznawcom. I w tem różnica obrządkowa nic nie przeszkadza. Mylne miałby pojęcie o nietykalności obrządkowej, ktoby w niej chciał widzieć sankcyę wszel-

kiego zastoju i martwoty, jakby te należały do istoty obrządków wschodnich. Historya świadczy, że przed schizmą focyańską, a nawet przez pewien czas po niej, obrządek wschodni, nie mniej jak łaciński, rozwijał się, wzbogacał w nowe formy pobożności chrześcijańskiej, zyskiwał nowe urządzenia. Schizma podgryzła korzenie drzewa i żywotne soki krążyć przestały. Tchnąć w suchy pień nowe życie jest zadaniem unii, i to nowe życie ujawni się niebawem i w zewnętrznym wyglądzie. Bynajmniej nie latynizując się, obrządek wschodni złączony z katolickim Kościołem, zaczerpnie wiele idei, wiele praktyk, jakie wytrysnęły z prawdy chrześcijańskiej, może jakieś nowe pod żywem działaniem ducha chrześcijańskiego sam stworzy i wyrazi je na swój sposób, w swoim, że tak powiem, stylu rodzimym, odpowiadającym gustowi serca i wyobraźni wschodniej[1]). Wreszcie unia wyzwala zjednoczone z Rzymem gałęzie kościoła wschodniego z pod niewoli państwowej, dając im stróża niezawisłości kościelnej w osobie papieża, a niezawisłość ta, to bardzo ważny czynnik w normalnym rozwoju życia religijnego.

Jeżeli wschodowi, nawet w najmniej sprzyjających warunkach, unia przynosi korzyści, to i zachód — powiemy najskromniej — nic na niej nie traci. Strachy przed zalewem byzantynizmu okażą się płonnemi, jeżeli się zważy prawodawstwo kościelne. Mianowicie z tego, że Kościół szanuje i zabezpiecza obrządek wschodni, wcale nie wynika, jakoby tenże Kościół lekceważył obrządek łaciński i wydawał go na pastwę byzantynizmu. Dość wspomnieć, że istnieją przepisy, zabraniające katolikom przechodzić z jednego obrządku na drugi bez ważnych przyczyn, o dostateczności których sąd do Kościoła należy. Te przepisy obowiązują nie mniej łacinników, jak i wschodnich, i przywileju żadnego ci ostatni pod tym względem nie mają. „Stan posiadania“ łacińskiego obrządku dostatecznie jest zabezpieczony.

Kiedy już mowa o byzantyniźmie, zatrzymajmy się nad nim nieco, by odpowiedzieć tym, którzy przeciwko unii występują w imię kultury europejskiej. Przeciwstawienie tej kulturze byzantynizmu, jako kultury niższej, a raczej jako czynnika zacofania, reakcyjności i hamulca w europeizacyi wschodu, należy do utar-

[1]) Dla przykładu prosiłbym porównać kult Eucharystyi u unitów, a u dyzunitów. Jaka kolosalna różnica przy tożsamości obrządku: częstsze celebry, częstsza komunia, adoracya N. Sakramentu etc.

tych komunałów i przeciwko temu przeciwstawianiu nie myślimy występować; nie możemy się jednak zgodzić z tymi, którzy „byzantynizm“ ściśle łączą z obrządkiem wschodnim. To już zdradza szablonowość myśli, chcącej uprościć sobie dochodzenie przyczyn tego lub owego zjawiska w historyi. Nie obrządkowi wschodniemu, jako takiemu, zawdzięczamy początek byzantynizmu, jak nie „obrządek“ łaciński wypielęgnował europeizm. Jeśli chodzi o genetyczny związek, to raczej powiedzieć należy, że uprzednia różność kultur była tem podłożem, na którem rozwinęła się rozmaitość obrządków kościelnych. Później, kiedy młode ludy występowały na widownię historyi chrześcijańskiej, przyjęcie przez nie wiary w tym lub innym obrządku decydowało jednocześnie i o tem, pod wpływ czyjej kultury miały się dostać: Konstantynopola czy Rzymu. I z tego względu można żałować, że książęta kijowscy, zamiast za przykładem naszego Mieczysława wziąć chrzest od łacinników, przywołali apostołów z Carogrodu i tym sposobem oddalili się od zachodniej Europy[1]). Ale to były czasy, kiedy przewodnikiem oświaty prawie jedynym były Żywoty świętych i dzieła Ojców kościoła, a wyłącznymi pionierami cywilizacyi biskupi i mnisi. Ci ostatni i literatura bizantyjska zaszczepiły na Rusi zarazek byzantynizmu. Ale te czasy bezpowrotnie minęły. Dziś oświata przychodzi do ludów inną drogą, niż przez Żywoty świętych, dziś należące do wschodnich obrządków ludy nie potrzebują hierarchii greckiej, ani wykształcenia greckiego[2]) i należenie do obrządku wschodniego nie przeszkadza unickiemu klerowi czerpać swe wykształcenie w uczelniach katolickich na równi z przedstawicielami narodowości ła-

---

[1]) Całej winy za odosobnienie krajów ruskich od kulturalnego życia Europy nie można składać na „byzantynizm“, a tem więcej na obrządek kościelny. Większą tu rolę odegrała tatarszczyzna. Pierwsi książęta ruscy, pomimo odrębności obrządkowej, brali dość czynny udział w polityce europejskiej, spokrewniali się chętnie z dworami łacińskimi, otwierali swe granice dla wpływów zachodnich. Dość przytoczyć takiego europejskiego władcę, jakim był Jarosław Mądry.

[2]) To się stosuje nietylko do Słowian, ale nawet do Arabów, Ormian, Rumunów i innych chrześcijan wschodnich obrządków. Nawet dyzunici, pochodzący z tych wszystkich narodowości, trwają w twardym antagoniźmie do dążeń hierarchii greckiej. Co zaś do oświaty religijnej i wiedzy teologicznej, to grecka „ortodoksya“ już dawno przestała być ogniskiem dla innych wschodnich kościołów; owszem sama się udaje po oświatę do niemieckiej protestanckiej szkoły.

cińskich. Sam obrządek nic z byzantynizmu w sobie nie ma, a to, co jest z niego w stosunkach prawno-kościelnych, to usuwa właśnie unia. Z drugiej strony należenie do obrządku łacińskiego bynajmniej nie jest warunkiem s i n e q u a n o n uczestnictwa w kulturze europejskiej. Wszak Anglikom i Niemcom protestantom nie odmówimy „europejskości“, chociaż nietylko z łacińskim obrządkiem, ale i z wiarą katolicką zerwali.

Pozostaje nam rozprawić się z zarzutami tych, którzy ideę unii zwalczają w imię interesów polskich. Gdyby nam te zarzuty sprawiały istotną trudność, to i tak — na upartego — można byłoby przejść nad nimi do porządku dziennego; problem bowiem zjednoczenia Kościołów należy do owego rodzaju problemów wyższych, dla których kryteryów należy szukać gdzieindziej, niż w zmiennej polityce jakiejkolwiek narodowości. Atoli jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że możemy przeciwnikom unii dać zadawalniającą odpowiedź, nawet z punktu widzenia interesów polskich.

Wskazują niekiedy na walkę narodowościową w Galicyi, jako na atut przeciwko unii. Sądzą, że lepiejby było, gdyby unia nie istniała. Rusini trwali niegdyś w odszczepieństwie kościelnem, i gdyby nie unia brzeska, a względnie akces do niej w początkach XVIII stulecia dyecezyj galicyjskich, trwaliby w odszczepieństwie i po dziś dzień. Z tego zaś wynika, po pierwsze: że w przeddzień upadku Rzeczypospolitej zamiast paru tysięcy dyzunitów mielibyśmy byli ich 6 milionów, a żaden chyba rozsądny historyk nie ośmieli się twierdzić, że to utrwaliłoby byt naszej państwowości wobec „opiekuńczej“ misyi ościennej, prawosławnej potęgi. Powtóre, dzisiaj w Galicyi posiadalibyśmy 4 miliony dyzunitów, którzy nie wiem dlaczego mieliby być mniej wrogo usposobieni, niż ich bracia z tamtej strony Zbrucza. Po prostu zamiast „świętojurców“, o których się tyle mówi, mielibyśmy zwyczajnych poczajowców, w rodzaju Witalisa, Heliodora, a to perspektywa wcale nie wesoła.

Przypuściwszy jednak rzecz niemożliwą[1]), manowicie, że zamiast unii brzeskiej Ruś zostałaby katolicką w obrządku łacińskim, czyż wtedy mamy prawo przypuszczać, że zabrakłoby tym sposobem powodów do zatargów narodowościowych? Czyż

---

[1]) Mówimy „niemożliwą“, bo wiemy z jakiemi trudnościami spotykała się unia, posądzana o to, że jest mostem do latynizmu.

nie widzimy podobnych walk między narodowościami, należącemi do jednego obrządku, jak np. w stosunkach litewsko - polskich, polsko - niemieckich, polsko - czeskich? Zbyt naiwnie patrzy na świat, kto w jedności obrządku widzi środek zaradczy przeciwko narodowym antagonizmom. Rzecz się ma raczej odwrotnie: różność obrządków, odgraniczając nawzajem wyraźniej dwie narodowości, zapobiega niektórym starciom w rodzaju tych, jakich widownią były niedawno świątynie w dyecezyi sejneńskiej. Lekarstwa na walki narodowościowe nie w unifikacyi obrządków kościelnych szukać trzeba, ale w wprowadzeniu chrześcijańskich zasad sprawiedliwości i miłości do polityki, która obecnie, niestety, wszędzie za najwyższe kryteryum uważa pogańską zasadę narodowego egoizmu. Nie rzucajmy zatem gromów potępienia na twórców Unii brzeskiej, na wielkie postacie Skargów, Pociejów, Zamoyskich, lecz raczej na tę połowiczność polityki polskiej, która zbożne dzieło zatrzymała w pół drogi, upokarzając unitów odmawianiem ich biskupom różnych praw z episkopatem łacińskim, paktując dla chwilowych korzyści z Sahajdacznymi i Teofanesami, wydając unitów na łup schizmatyckich wichrzeń i odmawiajac im opieki i poparcia. Ten brak opieki ze strony polskiej spowodował masową dezercyę stanów wyższych do łacińskiego obrządku, osłabił Unię i ułatwił rządowi rosyjskiemu zniszczenie najpiękniejszego dzieła naszej historyi.

Po ukazie tolerancyjnym 1905 roku 200-tysięcy byłych unitów przylgnęło do obrządku łacińskiego, a pośrednio i do narodowości polskiej, (a więc jednak i tych w końcu zawdzięczamy unii brzeskiej!). Otóż w pewnych kołach powstaje obawa, aby przywrócenie w Rosyi hierachii unickiej nie odebrało nam tego nabytku; stąd niechęć do podejmujących jakiekolwiek kroki unionistyczne. Obawa ta wydaje nam się mało uzasadnioną. Znając usposobienie b. unitów w Chełmszczyźnie i na Podlasiu, których prześladowcza polityka rosyjska rzuciła w objęcia kleru łacińskiego i którymi jedynie ten kler z narażeniem własnego bezpieczeństwa opiekował się, można mieć pewność, że owi dawni unici, dzisiaj łacinnicy, nie będą się kwapili do obrządku wschodniego, który po 30 latach stał się już obcym dla nich, a Kościół nawet przywróciwszy hierachię unicką, zapewne nie chciałby rewindykować ich dla wschodniego obrządku wbrew ich woli. Natomiast unia pozyskaćby mogła tych chwiejnych, co to i urzędo wej cerkwi niezbyt mocno się trzymają i ku polskości za mało

żywią sympatyi, by łatwo przejść na obrządek polsko - łaciński. Czy powstałaby stąd jaka krzywda dla Polaków — tego wcale nie widać.

Jeśli nie upatrujemy żadnego niebezpieczeństwa dla interesów polskich w przywróceniu unii na dawnym jej terenie dla tych, którzyby jej sobie życzyli, a którzy inaczej pozostaną w urzędowem prawosławiu, to tem mniej się obawiamy tworzenia grup unickich w rdzennej Rosyi. Nikomu się nie przyśni, by Kościół katolicki w Twerze czy Riazaniu podejmował się polonizacyi Rosyan przechodzących sporadycznie na katolicyzm. Jeżeli wszędzie, to przedewszystkiem we własnej ojczyźnie każdy ma prawo do zachowania ojczystego języka w swych stosunkach z Panem Bogiem i Kościół to prawo musi uszanować. Powstanie mniejszych lub większych grup unickich na ziemiach rosyjskich, ze stanowiska polskiego powinno być rzeczą co najmniej obojętną. Mówimy „co najmniej obojętną", gdyż właściwie winno być ono raczej rzeczą pożądaną, by mogąca wzrosnąć liczba konwertytów Rosyan-łacinników nie wchłonęła snać z czasem w siebie ledwie wegetujących na obczyźnie kolonij polskich. Stworzenie dla konwertytów osobnego obrządku pozostawi kościołowi łacińskiemu w Rosyi jego charakter przeważnie polski i nie narazi Polaków na uboczną rusyfikacyę z pomocą Kościoła.

Na ostatni zarzut, że unia jest rzeczą kruchą, pozostawiającą zawsze rządowi pokusę do kroków w celu „wozsojedinienia", można odpowiedzieć tylko uspokajająco. Obawa ta była uzasadnioną aż nadto przed tolerancyjnym ukazem, lecz teraz, przy najniższym nawet stopniu wolności wyznania, pozostawałaby w ostateczności furtka zagrożonym unitom, przynajmniej uświadomionym religijnie, do ucieczki pod skrzydło łacińskiego Kościoła, a ta perspektywa podpadnięcia znacznej liczby Rosyan pod wpływ łacińskiego, przeważnie polskiego kleru, odjęłaby chęć do powtarzania dzieła Siemaszki i Popiela.

Te wszystkie uwagi podaliśmy nie dlatego, jakobyśmy wierzyli w natychmiastowe wskrzeszenie unii w granicach państw rosyjskiego. Ja przynajmniej osobiście należę do tych pesymistów, którzy sądzą, że wiele jeszcze upłynie wody w rzekach rosyjskich, zanim stosunki się tak ułożą, aby można było myśleć o jakiejś poważnej akcyi w tym kierunku. Chodzi nam tylko o to, aby uspokoić płonne obawy tych, co drżą na samo wspomnienie unii; na każdego, kto choć z daleka przygotowawczą

pracą zmierza, z nieufnością patrzą, albo i za renegata gotowi uważać. [1])

Wracając do programu, wytkniętego przez zjazdy velehradzkie, programu pracy nad poznaniem cerkwi wschodniej, śmiemy polecić go gorąco ogółowi polskiego duchowieństwa i wszystkim, dla kogo kwestye kościelne nie są obce, a zwłaszcza uczelniom teologicznym w Królestwie Polskiem i Rosyi. Skoro się widzi żywe zainteresowanie się kwestyą wschodnią wśród teologów innych narodowości, Francuzów, Niemców, Czechów, przykrego uczucia doznawać się musi na widok obojętności dla tej kwestyi ze strony większości kleru polskiego, obojętności, której dowodzi choćby nikły udział w tegorocznym zjeździe velehradzkim. Polskich uczestników ze wszystkich trzech zaborów było chyba trzy razy mniej, niż Rusinów z jednej tylko Galicyi. A tymczasem kogoż bardziej, niż nas, może i powinna zajmować kwestya wschodnio-kościelna, nas, którzy codzień z Cerkwią stykać się musimy i w czyich rękach bądźcobądź spoczywają losy przyszłej pracy nad zjednoczeniem. Dlatego uważałbym za rzecz konieczną, żeby w seminaryach duchownych Kongresówki i Cesarstwa, a już conajmniej w Akademii petersburskiej wprowadzono regularne i systematyczne studyum kwestyi wschodniej. O ile mi wiadomo, robi się już coś niecoś na tem polu w niektórych uczelniach i seminaryach, lecz są to próby prywatne ludzi dobrej woli, przedsiębrane bez poparcia z góry i bez systemu. W Akademii duchownej przydałaby się specyalna katedra porównawczej teologii, w rodzaju tych, jakie są we wszystkich akademiach prawosławnych. Znajomość cerkwi wschodniej i to znajomość gruntowna, wszechstronna, jest nam bez porównania potrzebniejszą, niż znajomość sekt starożytnych, po których ani śladu nie zostało. Bez tej znajomości przeciwnika postawieni na straży prawowierności katolickiej wśród silniejszych od nas inowierców, możemy albo nie sprostać swemu zadaniu, albo w przystępie gorliwości sprowadzić polemikę na drobiazgowe i trzeciorzędne tematy w rodzaju formy krzyżów na cerkwi i popich bród. Rozszerzenie naszego widnokręgu przez studyum sumienne Wschodu, oto, mojem zdaniem, jeden z ważnych obowiązków polskiego

---

[1]) Dziwniejszym jest lęk tych, którzy unię wogóle za utopię niezniszczalną uważają. Czegoż bać się utopii? Czemuż nie pozostawić ich utopistom, jako niewinną zabawkę?

kleru a popieranie tego kierunku — jedną z usług, jakie sprawie Bożej może oddać świeckie społeczeństwo.[1])

J. Urban.

ZE STATYSTYKI SZKÓŁ ŚREDNICH W CIESZYŃSKIEM.

W roku ubiegłym biadano wiele nad tem, że gimnazyum polskie jest najmniej uczęszczaną szkołą średnią w Cieszyńskiem, podczas gdy wcale pokaźna ilość uczniów polskich zapełnia 5 innych zakładów średnich na Śląsku — tudzież nad tem, że polskiej uczącej się młodzieży jest nieproporcyonalnie mniej od niemieckiej.

Przyjrzawszy się cyfrom dokładniej, widzę, że właściwie liczba uczniów niemieckich ze Śląska, (a tylko te cyfry mogą być dla nas miarodajne) jest nie wiele większą od naszych. Prawda, że nie wszyscy Polacy uczęszczają do polskiego gimnazyum, co jest ciemnem tłem tej sprawy — ale usprawiedliwić w tem trzeba zapisanych do szkół realnych, skoro w tej dopiero chwili powstaje pierwsza polska taka szkoła w Orłowej. Z drugiej zaś strony przeszło czwarta część uczniów narodowości nie-

---

[1]) Już podczas „łamania“ pisma mieliśmy sposobność czytania artykułu w Nrze 39 lwowskiej *Gazety Kościelnej* z 24 września p. t. „W obronie idei cyrylo-metodejskiej i zjazdów welehradzkich,“ — podpisany literami *X. Fr. K.* — których znaczenia domyślając się, widzimy, że mamy do czynienia ze szczerym również przyjacielem *Świata Słowiańskiego.*

Polemika między przyjaciółmi? Zjawisko rzadkie — a szkoda, że rzadkie. Gdzie nieprzyjaźń, tam polemika nie zda się na nic, a często wyradza się w zwadę. Wszak szeroka publiczność rozumie już przez „polemikę“ wzajemne docinanie sobie, a nawet urąganie z siebie nawzajem. A tymczasem polemika prawdziwa jest wzajemnem wyjaśnianiem sobie kwestyi, pomiędzy ludźmi miłującymi prawdę i tą miłością zaprzyjaźnionymi — jeżeli jednemu z nich wydaje się coś wątpliwem.

Wątpliwości w sprawie cyrylo-metodejskiej gromadziły się; nie wyjaśnione — mogły były szkodzić ruchowi. Dla tych wątpliwości właśnie usuwało się od sprawy duchowieństwo polskie.

Odpowiedź Szanownego autora niniejszego artykułu — a również autora artykułu w *Gazecie Kościelnej* — rozwiewa obawy wyrażone w poprzednim zeszycie przez p. Woronieckiego. Będziemy się cieszyli, jeżeli się dowiemy, że w następnym zjeździe welehradzkim duchowieństwo polskie weźmie liczniejszy udział. Wszczęta przez nas polemika powinna wyjść na dobro sprawy. *Przyp. Red.*

mieckiej pochodzi z poza Śląska, (sama Galicya dostarcza ich około 300), co podtrzymuje sztucznie frekwencyę szkół niemieckich, — i gdyby nie to, liczyłyby one, przeciętnie biorąc, nie wiele ponad dwustu uczniów. Dodajmy, że podnosi cyfrę niemczyzny liczba uczniów żydowskich 25% wynosząca.

Średnich zakładów naukowych na Śląsku mamy sześć: jedno gimnazyum polskie w Cieszynie; trzy niemieckie w Bielsku, Cieszynie i we Frydku; dwie niemieckie szkoły realne w Bielsku i w Cieszynie. [1])

Gimnazyum polskie liczyło z początkiem ostatniego roku szkolnego 291, z końcem 277 uczniów (ubyło więc w ciągu roku 14 uczniów), samych tylko Polaków. Z tego pochodziło 261 ze Śląska (22 z Cieszyna), a tylko 16 z poza Śląska, czyli niespełna 6%.

Według stanu rodziców było synów inteligencyi 46, rolników 92, rękodzielników i przemysłowców 56, robotników 83,— a więc 34% uczniów warstwy najniższej.

Przypatrzmy się teraz cyfrom gimnazyum niemieckiego w Cieszynie: Liczba uczniów z początkiem roku szkolnego 301, z końcem roku 291 (wystąpiło 10). W tej liczbie 194 Niemców, 77 Polaków, 18 Czechów, innych 2. Ze Śląska pochodziło 269 uczniów (w tem z Cieszyna aż 106), z innych stron 22 (z tego połowa z Galicyi) czyli 7%. Rzeczą charakterystyczną, że na lekcye języka polskiego (nadobowiązkowe) uczęszczało 95 uczniów — czyli że, jak można przypuszczać, 22 z poza narodowości polskiej.

Gimnazyum niemieckie w Bielsku liczyło z początkiem roku 377, z końcem 365 uczniów. Niemców uczęszczało 286, Polaków 74, innych 4; ze Śląska 200, z poza Śląska 161, z tego z Galicyi około 130, a w tem około 20 Polaków.

---

[1]) Seminarya (niemieckie w Bielsku i Cieszynie, czeskie w Polskiej Ostrawie) pominiemy w tych wywodach, gdyż uczniowie polscy muszą uczęszczać do niemieckich, mając zaledwie paralelki polskie w samym tylko Cieszynie. Kiedy nastąpi oddzielenie polskich klas, nie wiadomo, gdyż rząd wielkiej ochoty nie ma budować gmachu według umowy, pod Cieszynem. Po wybudowaniu dwóch wspaniałych gmachów szkolnych pod gimnazyum niemieckie i szkołę realną niemiecką, ma rząd dwa próżne gmachy, w których pomieścić zapewne zechce, przynajmniej na razie, polskie seminaryum, o ile oczywiście Niemcy zgodzą się na to, lub o ile Koło polskie odpowiednio na tę sprawę wpłynie. W każdym razie podobne przewlekanie sprawy seminaryum polskiego wpływa ujemnie na ludność polską, i powaga samego Koła doznaje uszczerbku.

Gimnazyum we Frydku nie wchodzi w nasze rachuby. Na 284 uczniów byłotam 228 Niemców, 46 Czechów i 10 Polaków.

W szkole realnej w Cieszynie liczba uczniów z początkiem roku wynosiła 421, z końcem 407; Niemców uczęszczało 321, Polaków 74, Czechów 12; ze Śląska pochodziło blisko 350, zaś około 60 z poza Śląska.

Do szkoły realnej w Bielsku zapisało się 374, z końcem roku uczęszczało 365; Niemców było 307, Polaków 52, innych 6. W pierwszej klasie znać ubytek polskich uczniów o 50%, ze względu zapewne na świeżo powstałe gimnazyum realne w Białej. Ze Śląska uczęszczało około 220, reszta z poza Śląska, z Galicyi około 120, w czem kilkunastu Polaków.

Ogółem uczęszczało do sześciu zakładów na Śląsku 1989 uczniów; z tego Polaków 564, Niemców 1336, Czechów 76, Słowieńców 9, a 4 innych narodowości.

Ilość Niemców przewyższa więc przeszło dwukrotnie cyfrę polską. Wytłumaczenie tego zjawiska znajdziemy jednak w kilku poniższych cyfrach. Ze Śląska uczęszczało 1447, zaś z poza Śląska 542 uczniów, z tego z samej Galicyi około 300! Składają się na to dwie okoliczności, a mianowicie, że trzy szkoły średnie, (w Bielsku gimnazyum i szkoła realna, we Frydku gimnazyum) leżą na samej granicy kraju; a powtóre, że Niemcy z Galicyi wysyłają dzieci do najbliższych szkół niemieckich, tj. do Bielska. Stąd też pochodzi owa przewaga dwukrotna Niemców nad liczbą uczniów Polaków.

Od cyfry 542 (uczniów z poza Śląska) odtrąciwszy 16 uczniów z gimnazyum polskiego oraz około 30 uczniów Polaków uczęszczających do szkół bielskich, otrzymamy cyfrę około 500, (z czego na Galicyę przypada około 300), podtrzymującą silnie przewagę Niemców w szkołach średnich. Odtrąciwszy powyższe cyfry od cyfr ogólnych, otrzymamy, że ze Śląska uczęszcza do zakładów średnich na Śląsku około 520 Polaków, 860 Niemców, a Czechów 60. W ten sposób cyfry te zmieniają się na korzyść naszą, a zmienią się jeszcze bardziej, gdy zważymy, że do szkół niemieckich uczęszcza wielka ilość Żydów, podających się za Niemców. We wszystkich niemieckich szkołach średnich na Śląsku mamy z górą 400 uczniów wyznania mojżeszowego! Gdybyśmy cyfrę tę odtrącili od ogólnej cyfry Niemców, okaże się, że faktycznie Niemców jest około 900, — jeżeli zaś przyjmiemy, że z tych czterystu Żydów co najmniej 150 pochodzi z poza Śląska, okaże się, że do

szkół średnich uczęszcza pochodzących z Cieszyńskiego „krajowców“ około 600 Niemców, 520 Polaków, 250 Żydów, 60 Czechów. Te cyfry nie są dla nas tak niekorzystne.

Dostrzegamy też, że niezmiernie mały procent Czechów uczęszcza tu do szkół średnich. Omijają oni szkoły niemieckie i wolą posyłać dzieci do odleglejszych własnych, tj. na Morawy. Ale i tam ich ze Śląska nie wielu, — bo w ogóle Czechów w Cieszyńskiem nie wiele.

Uczniów w gimnazyum polskiem było (z końcem roku szkolnego) 277, najmniej zewszystkich gimnazyów, podczas gdy przeszło drugie tyle Polaków, bo 287, uczęszczało do zakładów niemieckich na Śląsku Cieszyńskim. Do samego gimnazyum niemieckiego w Cieszynie uczęszczało ich 77. Cyfra ta spada systematycznie, lecz zbyt powoli; gdy w niższych klasach tegoż gimnazyum wykazuje sprawozdanie 46 takich uczniów a we wyższych 31 — ma ich jeszcze stosunkowo proporcyonalną ilość do owych lat wstecz, kiedy można było jeszcze usprawiedliwić posyłanie dzieci do szkół niemieckich. Ogółem do gimnazyów niemieckich uczęszczało 151 Polaków, a gdyby cała powyższa liczba znalazła się w murach imnazyum polskiego, zakład nasz byłby najliczniejszym na Slązku i możnaby dobitniej wyrażać potrzebę szkół polskich.

Do szkół realnych uczęszczało Polaków 126; cyfra, mogąca śmiało upoważniać społeczeństwo nasze do otwarcia polskiej szkoły realnej.

Nie można pominąć milczeniem, że Polacy, którzy mają tak przeważny wpływ w Galicyi, zaniedbali stronę zachodnią Galicyi i jej nadgraniczny pas — i pozwolili tuż pod swoim bokiem rozwielmożnić się tak germanizacyi. Brak szkoły średniej w całym powiecie chrzanowskim i bielskim, a natomiast wysunięte jakby reduty germanizacyi dwa średnie zakłady niemieckie w Bielsku, nasuwają niewesołe spostrzeżenia, które niestety się sprawdzają! Przy pomocy Koła polskiego, nie oglądając się na niemieckie veta, sejm galicyjski powinien uchwalić otwarcie gimnazyum lub szkoły realnej w Chrzanowie, w Oświęcimiu, a w Białej istniejące gimnazyum realne T. S. L. upaństwowić, jeśli nie chce narażać na germanizacyę już nie Śląska, lecz zachodnich brzegów Galicyi i tak już poważnie zagrożonych.

W roku bieżącym i Rada Szkolna krajowa, i Rady okręgowe i nawet gminne uchwalały rezolucye, żeby w średnich zakładach niemieckich zaprowadzić obowiązkową naukę języka polskiego.

Dotychczas w trzech lub czterech oddziałach w każdym zakładzie uczono go nadobowiązkowo (wykładając go po niemiecku), a na kursa te uczęszczało ogółem w Cieszynie i w Bielsku 336 uczniów; a że liczba Polaków wynosiła tam 277, przeto około 60 uczniów innej narodowości — prawdopodobnie niemieckiej — na kursa te uczęszczało. Cyfrę tę możemy śmiało podnieść co najmniej do 100, bo powszechnie wiadomo, że wielu uczniów polskich, nie korzystając nic z podobnej nauki języka ojczystego, całkiem na nią nie uczęszczało. Niemcy wprowadzają obowiązkową naukę języka polskiego, aby tem łatwiej dostać się do służby państwowej, a nadto potrzebny on im jest w zawodach wolnych, w przemyśle, w kopalniach, w handlu etc.; głównym atoli powodem jest usiłowanie, żeby położyć kres żądaniom polskiej ludności o polskie szkoły.

Przed nowym rokiem szkolnym ukazały się artykuły w renegackim *Ślązaku*, na temat: „Możecie teraz już spokojnie posyłać dziecko do szkoły niemieckiej, bo zawszeć tam nauczy się po niemiecku, a to dużo znaczy, — a i swojego języka nie zapomni, bo go też uczą. W polskiej szkole uczą tylko po polsku, niemieckiego zaś nie wiele, — toteż ze szkołą polską dziecko wasze daleko zajść nie może“.

Cel roboty jasny; chodzi tylko o to, czy skuteczny. Jeżeli połowa polskiej młodzieży uczęszcza do zakładów niemieckich i bez obowiązkowej nauki języka polskiego, można wyrazić obawę, że niebezpieczeństwo może być wcale poważne. Jeśli zaś z drugiej strony rozważymy, że groźniejsze chmury przeciągały przez Śląsk i polskości nie zachwiały, — ufać trzeba, że obawa okaże się płonną.

Cyfry uczniów w niemieckich zakładach z roku na rok bądźcobądź opadają i jest nadzieja, że przy dalszej pracy zmniejszać się będą stale, a choć o tem niema mowy, by ich nie było, boć miejscowe warunki zawsze dużo na to wpływają, jednak do minimalnej ilości obniżyć się muszą. Z otwarciem polskiej szkoły realnej w Orłowej nietylko że cyfra ta również spadnie, lecz wzmoże się sama przez się cyfra uczniów szkół polskich.

Gorzej zaś, że pośród tej sporej falangi uczniów niemieckich z Galicyi, widnieją też nazwiska uczniów Polaków z Galicyi, których rodzice posyłają tu „dla nabrania wprawy w języku niemieckim“. Fakt sam mocno niesympatyczny i wiele mówiący, aby go jeszcze zaopatrywać w uwagi! *St. Warcholik.*

WEZWANIE DO PRASY SŁOWACKIEJ.

Pod adresem prasy słowackiej, a zwłaszcza *Ludovych Novin*, wypada nam powiedzieć słów kilka z braterskiem upomnieniem i braterską prośbą, która powinnaby być rozważoną również szczerze, z dobrą wolą i dobrem sercem: po bratersku.

Przez długie lata ogół polski nie miał należytych informacyj o Waszym stosunku do Madiarów i państwa węgierskiego. Było to z Waszej winy. Żaden Słowak nie pobawił nigdy wśród polskich dziennikarzy, literatów, polityków; nie zjawił się w bliskim Krakowie, żeby tu zebrać grono publicystów, któreby wysłuchało jego referatu o sprawach słowackich; nie napisał nigdy ani jednego artykuliku do jakiego dziennika polskiego. Nie szukaliście osobistych znajomości i stosunków z Polakami i nikt nie widział nigdy Słowaka na żadnej uroczystości polskiej, na żadnym zjeździe wśród nas.

Nie robiliście nic a nic, żeby nas informować, a więc Wasza wina, że ogół polski niewłaściwie o tych rzeczach sądził. Nie macie prawa robić nam z tego powodu jakichkolwiek zarzutów. Nie szukaliście zbliżenia do nas.

My sami od siebie, z własnej ochoty, zaczęliśmy studyować Wasze sprawy. Dziś niema tygodnia, żeby w jakiem piśmie polskiem nie pojawił się artykuł, lub przynajmniej notatka sympatyczna dla Słowaków. Dziś nawet tacy, którzy pragnęliby utrzymać przyjaźń z Madiarami, przyznają, że rząd węgierski ciężko Was krzywdzi.

Zrobiło się dużo, a wszystko bez Was. Gdyby to od Was zależało, opinia polska byłaby do dziś dnia po stronie rządu węgierskiego.

Polacy sami się Wami zainteresowali, sami ideę słowiańską wobec Was zastosowali, sami do Was dłoń wyciągnęli. Godziłoby się więc, żebyście nawzajem zachowali się wobec Polaków tak, jak na uczciwych Słowian przystało.

Mamy Wam do zarzucenia, że podajecie w swych pismach o nas informacye zawsze fałszywe, często śmieszne. Najchętniej pisujecie o nas wtedy, gdy możecie nam przypiąć jakąś łatkę. Za sympatye odpłacacie nam szerzeniem wśród swych czytelników uprzedzenia do Polaków.

Ustępów złośliwych, głoszących o nas nieprawdę, naczytaliśmy się w prasie słowackiej już dosyć. Trzeba zrobić clara pacta.

Aut — aut. Albo Słowacy są wzajemnie zobowiązani do przyjaźni względem nas, a prasa słowacka zastosuje się do tego obowiązku — albo będziemy mieli prawo wycofać się. Przyjaźń jednostronna — to nonsens; musi ona obowiązywać obie strony.

Idei słowiańskiej nie możemy pojmować w ten sposób, żeby nakładała na Polaków obowiązki względem Słowaków, ale Słowaków nie obowiązywała do niczego względem nas.

Idea słowiańska nie jest tylko dla Was, jest ona dla wszystkich, a więc i dla nas. W imię tej idei ma każdy z narodów słowiańskich obowiązki wobec innych pobratymców, a więc Wy macie obowiązki także wobec Polaków.

Dalecy jesteśmy od posądzania Was o złą wolę. Ludzie, którzy z taką szlachetnością spełniają obowiązki patryotyczne względem własnego społeczeń-

stwa, nie mogą być złymi. Macie tylko grzech zaniedbania, pochodzący stąd, żeście się nad tą rzeczą... nigdy nie zastanawiali. Nieprawdaż?

Przyczyna wszystkiego w tem, że jesteście — przestarzali. Stanęliście na pewnym punkcie i ani rusz naprzód.

Śmiejecie się ze starego Hurbana-Vajanskiego, że jak siadł raz przy drodze — lat temu przeszło trzydzieści — czekając na przybycie Kozaków, tak siedzi sobie dotychczas na tym samym kamieniu z założonemi rękami, nic nie robiąc, tylko... czekając. Świat cały się zmienił, ludzie latać zaczynają — a on na to wszystko nic; jak siadł, tak siedzi.

Wy, „młodzi", poszliście o milę dalej. Zerwaliście z moskalofilstwem, ale została Wam polonofobia. Niechęć do Polaków, którzy rzekomo „nie byli dotychczas nigdy (sic!) przyjaciółmi ruchu słowiańskiego" [1]), należała do kompletu panslawizmu i stary H. był konsekwentnym, bo moskalofilstwo bez polonofobii byłoby, jak... neoslawizm bez polonofilstwa.

Nie wchłaniając w siebie nowych haseł, nie stosując się do nowego ugrupowania się rzeczy i ludzi, stajecie się i Wy już przestarzałymi.

A nie chodzi tu tylko o stosunki polsko-słowackie, ale o rzeczy słowackie, ściśle słowackie.

Wiecie, jak Wasi „starzy", zatopiwszy się w przestarzałych zapatrywaniach na politykę zewnętrzną (że użyję tego wyrażenia), stali się także nieużytecznymi do wewnętrznej. Zacofanie w jednej dziedzinie pociąga za sobą zwolna, stopniowo, ale nieuchronnie, zacofanie ogólne — co jest łatwo zrozumiałem wobec tego, że w życiu publicznem wszystkie sprawy łączą się i są wzajemnie od siebie zależne. Co byłoby z ludem słowackim, gdybyście Wy „młodzi" nie byli zerwali z metodą „starych"? Byłby zbieraniną ciemnych, pijanych nędzarzy. Cześć Wam, żeście ruszyli naprzód — ale kto wie, czy rozwój ludu słowackiego nie przegonił już Was samych, Waszą metodę i Wasze horyzonty? Kto wie, czy wystarczającem jest jeszcze dla tego ludu dzisiaj to, co było zupełnie wystarczającem, gdyście rozpoczęli swą błogą, wspaniałą działalność?

Z kilkoletniej stałej lektury Waszych pism, dla ludu przeznaczonych, odnosi się wrażenie, że jednak brak w nich tego i owego i zaczynacie się już kręcić w kółko, zamiast iść naprzód. Starzejecie się przedwcześnie, bo idziecie, jakby pchani tylko siłą bezwładności od punktu, z którego wyruszyliście. Trzeba zrobić rewizyę całej metody, niegdyś bardzo dobrej, dziś już tylko dość dobrej, a na jutro... złej, i trzeba, żebyście tej rewizyi dokonali sami, nie czekając na „młodszych", którzyby z Wami zerwać musieli.

Jak zacofanie w jednym dziale pociąga za sobą ogólne, podobnież postęp w jednym punkcie dokonany, udziela się stopniowo wszystkim dziedzinom życia. Toteż rewizya Waszego stosunku do Polski wpłynęłaby niesłychanie ożywczo na cały Wasz rozwój narodowy. Czekają na Was po tej stronie Tatr całe skarby; ślepi byliście, żeście tego nie spostrzegli.

A więc nietylko w imię obowiązku — wobec idei słowiańskiej, ale w imię własnego słowackiego interesu ruszcie znowu o milę dalej i skoro nie szerzycie wśród swych czytelników moskalofilstwa, nie szerzcie też polonofobii, bo to niekonsekwentne, śmieszne i przestarzałe.

---

[1]) *Ludove Noviny*, Nr. 37 z tego roku! Szeregiem artykułów w *Świecie Słowiańskim* wykazano już dawno, że to nieprawda, w tym zaś roku podajemy w każdym zeszycie artykuły z przeszłości słowianofilstwa w Polsce.

A zresztą mógłbym cytatami z Waszych pism udowodnić, że chcąc pisać źle o Polsce, musicie — kłamać, zmyślać niestworzone rzeczy, pisywać brednie. [1]) Informując czytelników fałszywie, nie przyczyniacie się do ich wykształcenia [2]) Pamiętajcież, że fałszywe informacye muszą prowadzić do fałszywych wniosków i w końcu — n i e u c h r o n n i e — do błędów politycznych.

Ani na chwilę nie przypuszczam, żeby kłamstwa, rozsiewane w prasie słowackiej o Polakach, miały źródło w złej woli. Źródłem ich ignorancya rzeczy polskich [3]). Znacie Polski w sam raz tyle, ile jej zna stary H u r b a n i tak samo jak on, o niej pisujecie.

A więc nie prośba, lecz życzenie, a może nawet dobra rada:

Nie pozwalajcie pisywać o Polsce takim, którzy nas nie znają i z fantazyi robią kombinacye... komiczne wobec rzeczywistości. Starajcie się nas poznać i mieć własne o nas informacye. Zbliżcie się do nas, bo minęły już czasy, w których można było pysznić się słowianofilstwem, a Polskę ignorować.

Zróbcie u siebie choć połowę tego dla poznania spraw polskich, co w Polsce zrobiono dla poznania słowackich!

Polacy pierwsi dali dobry przykład. Przynosi nam to zaszczyt; Wam zaś przynosiłoby to wstyd, gdybyście nie naśladowali tego przykładu.

Tak jest; każde słówko, napisane w Waszych pismach z niechęcią przeciw Polakom — jest wstydem dla Was. Że tego nie czujecie — to właśnie świadczy o pewnej przestarzałości Waszej myśli.

Czyż nie wolno krytykować Polaków? — zapytacie.

Nietylko wolno, ale nawet o b o w i ą z k i e m p r z y j a ź n i może być nieraz krytyka. I bardzobyśmy się cieszyli, żebyście jak najprędzej poznali nas na tyle, iżbyście mogli nas krytykować. Ale do tego trzeba znawstwa przedmiotu. Krytykować będziecie mogli wtenczas, kiedy będziecie mieć prawdziwe pod względem faktycznym informacye i kiedy prasa Wasza stanie się polonofilską, żeby znać było, że krytykujecie — z życzliwości.

Tak my dziś ośmielamy się Was krytykować, dostarczywszy przez pięć lat dowodów, że Was miłujemy.

Stawiamy kwestyę jasno, nie obwijając w bawełnę, mówimy śmiało, bo daje nam do tego prawo ta przyjaźń, której Wam dochowywaliśmy święcie.

Myśmy spełnili swój obowiązek — nie bądźcie Wy gorsi od nas!

Nie wątpimy, że życzenie nasze będzie spełnione, bo wzywa Was do tego

Wasz przyjaciel

Świat Słowiański.

---

[1]) *Ludove Noviny* napisały, że przy sposobności czeskiej wycieczki na wystawę częstochowską znać było, jak lud polski odwraca się od „panów". K ł a m s t w o, bo właśnie wystawa ta, a zwłaszcza za dni czeskich, dowiodła, że „chłop" idzie razem z „panami". Proszę spytać kogokolwiek z Czechów, uczestników wycieczki.

[2]) O należyte informacye o Polsce tak łatwo! Polacy rok w rok przyjeżdżają do Słowaków; jest *Świat Słowiański*, dzienniki można mieć na wymianę — a zresztą Kraków tak blisko.

[3]) Prasa słowacka lubi pisać o Polsce, jakby o jakiejś kopii Słowaczyzny, osądzając sprawy polskie zupełnie według stosunków słowackich. Np. ponieważ ziemiaństwo w Górnych Węgrzech jest madiarońskie, a więc i polscy właściciele dóbr nic nie warci, i t. p. Powstają z tego najrozmaitsze banialuki. A jak świetnie możnaby wyzyskać stosunki polskie do celów słowackich, g d y b y p i s a ć o n i c h p r a w d ę! Jak rozszerzyłby się horyzont myśli słowackiego wieśniaka, gdyby się dowiedział, że tuż w najbliższem sąsiedztwie żyje naród, posiadający w s z y s t k i e warstwy społeczne, że podczas wystawy częstochowskiej książęta i chłopi razem radzili, razem pracowali. Co za korzyść z tego, że czytelnikowi słowackiemu zdaje się, że cały świat jest podobny do Słowaczyzny? Poco wyrabiać ciasnotę pojęć — skoro wiadomo, że umysł kształci się najlepiej przez porównywanie rzeczy odmiennych.

WYNIKI ODWIEDZIN CZESKICH.

Dni największej radości *Świata Słowiańskiego*, jakiemi były przyjęcia Czechów w połowie sierpnia na ziemiach polskich, zasługują na to, żeby je nietylko odczuć, ale też zrozumieć i krytycznie się nad niemi zastanowić.

Odwiedziny czeskie w Krakowie, Częstochowie i Warszawie były wydarzeniem tak doniosłem, że stanowią teraz jeszcze przedmiot dyskusyi prasy europejskiej. Wycieczka złożona ze samych tylko przedstawicieli instytucyj publicznych, obmyślona była z góry w ten sposób, żeby reprezentowała cały naród czeski. A reprezentowała go wspaniale, w sposób jak najgodniejszy.

Sursum corda! Oto wrażenie, jakie po sobie pozostawiła.

Sympatye czeskie wybuchnęły u nas z siłą rzeczywiście żywiołową; całe serce i wszystkie nerwy nasze poszły na czechofilstwo. Szalonej potęgi tego ruchu może mieć dokładną miarę ten tylko, kto zna wszystko od samego początku, od samej zapowiedzi wycieczki.

Było to doprawdy coś niesłychanego, niewidzianego jeszcze w Krakowie; rodzaj plebiscytu, który sam powstał i sam się urządził, kazał przyjąć Czechów z serdecznością i zapałem, na jaki tylko stać Krakowianina, który z reguły bywa... sztywnym, zamkniętym w sobie i do wybuchów uczucia wcale nie skłonnym. A cóż dopiero działo się w Warszawie!

Przyczyn zapału było wiele, ale główną ta, że widziano w Czechach ludzi, którzy (po konferencyi praskiej) dotrzymali Polakowi słowa. Od stu lat przeszło zdarzyło się nam po raz pierwszy, że nam ktoś słowa dotrzymał, nie zmuszany do tego żadnemi okolicznościami zewnętrznemi.

Czesi mają do zapisania na zysk tej wycieczki nietylko wzrost sympatyi ku sobie, ale coś więcej: powagę imienia czeskiego.

Opisywać wycieczki nie będziemy, wszystkie dzienniki pełne były opisów. Stwierdzimy tylko, czego ona była wynikiem i jakie sprowadziła dalsze wyniki; co ją spowodowało i co ona dalej spowodować może, a poniekąd musi:

1) Czesi uznali, że będąc w Warszawie, nie w Rosyi byli, lecz w Polsce.

2) Czesi uznali słuszność polskiego programu wobec Rosyi (język polski w szkole, sądzie i urzędzie i legalność dążeń do autonomii).

3) W Czechach przyjmie się z czasem zasada, że tylko pogodzona z Polską Rosya może wchodzić w kombinacye idei słowiańskiej; Rosya zaś ciemiężąca Polaków nietylko nie należy do Słowiańszczyzny, ale należy ją uważać za jej wroga. W ewolucyi idei słowiańskiej może zajść taka przemiana, że zwróci się ona przeciw Rosyi.

4) Skutkiem tego punkt ciężkości idei słowiańskiej przenosi się tem bardziej do Austryi — skoro tylko w Austryi można ją roztrząsać z całą swobodą, zabezpieczoną przez wolność nauczania, wolność prasy i stowarzyszania się.

5) Zwiększają się skutkiem tego znacznie widoki austroslawizmu.

6) Zmniejszają się zaś widoki neoslawizmu, dla którego niema wyjścia z położenia wytwarzanego przez rząd rosyjski.

7) Nowa oryentacya polityki czeskiej zewnętrznej wpłynie zapewne dobroczynnie na ich stosunki polityczne wewnętrzne, a zmniejszając rozstrój polityczny w kraju, może z czasem wywołać nowe ugrupowanie się stronnictw, wraz z osłabieniem radykalizmu, poczem nastąpiłoby tak pożądane zwiększenie się wpływu czeskiego na ogólną politykę monarchii austryackiej.

8) Sympatye czeskie zapuściły w społeczeństwie polskiem tak głębokie korzenie, że poszukiwanie zgodnej taktyki (cele były zawsze te same!) w parlamencie wiedeńskim jest koniecznością. Rzecz nie łatwa, bo zahaczająca o cały szereg kwestyi doniosłych, a wymagających traktowania z największą przezornością i ostrożnością, wobec tego, że sfery decydujące są źle poinformowane o obecnej fazie ruchu słowiańskiego, Polakom stanowczo nieprzychylne, Czechom bardzo niechętne i nie umiejące jeszcze idei słowiańskiej wyobrazić sobie inaczej, jak tylko pod postacią jakiegoś rodzaju spiskowania z Rosyą przeciw Austryi. Parlamentarne porozumienie polsko-czeskie wymaga przedyskutowania tylu spraw i tak szczegółowego obmyślenia taktyki, że da się przygotować tylko w zupełnym spokoju i w ciszy.

Spada więc na dziennikarstwo obowiązek —. sprawowania się po cichu. Tyczy się to przedewszystkiem prasy czeskiej, jako mniej do tego skłonnej, mniej karnej. Wszystko od razu zrobić się nie da — a hałaśliwe podkreślanie braków, przesadne powiększanie drobniejszych faktów, lub — co najgorsza — posądzanie o złą wolę, wywiera zazwyczaj skutek wręcz przeciwny zamierzonemu.

W sprawach zasadniczych Koło Polskie nigdy przeciw Czechom nie szło i nie pójdzie; to rzecz pewna. Ogłaszanie Koła Polskiego nieprzyjacielem Czechów nie miało wogóle nigdy sensu, a teraz byłoby tem grubszym błędem litycznym.

Prasa czeska powinna przyjąć z zadowoleniem do wiadomości fakt, że Czesi wygrali w Krakowie walną bitwę — i dać Kołu Polskiemu czas, żeby się mogło stosownie urządzić. Uwzględnić trzeba, że wśród posłów naszych niema ani jednego znawcy stosunków słowiańskich.

Poszukiwanie wspólnej taktyki musi być oczywiście obopólne. I w czeskich klubach (oby nareszcie można było mówić w liczbie pojedynczej!) to i owo się zmieni, a zmiany wymagają — czasu.

W każdym razie Koło Polskie będzie się liczyć z Czechami bardziej, i tem bardziej, że już wiadomo, iż można na nich liczyć, bo dotrzymują święcie słowa

Zgodne postępowanie czeskiego i polskiego poselstwa jest niewątpliwie postulatem narodu polskiego. Do tego dojść musi i dojdzie.

9) Stosunki handlowe polsko-czeskie ożywią się. Druga „wyprawa czeska do Polski“, wrześniowa, którą wobec pierwszej, sierpniowej, „reprezentacyjnej“, nazwać możnaby „roboczą“ — zorganizowana również znakomicie celowo, powiodła się również świetnie. Kapitał czeski może mieć nowe pola działania, wyroby czeskie, a nasze płody surowe, wzajemnie nowe rynki zbytu.

Jedna rzecz wymaga tu ostrożności:

O ile kierownicy czeskiego ruchu ekonomicznego są ludźmi szerokiego horyzontu, imponujący wprost pod wielu względami — o tyle przeciętny czeski urzędnik bankowy, czy kupiec podróżujący (komiwojażer) i wogóle ci, na których spoczywa służba wykonawcza w czeskim ruchu ekonomicznym, mają w sobie coś biurokratycznego. Do zjednywania sympatyi swemu narodowi są bardzo niedostatecznie przygotowani. Znać to i w południowej Słowiańszczyźnie, znać i w Galicyi, oby się to nie pokazało w Kongresówce! Psuć może każdy — i tak czasem podrzędny funkcyonaryusz może zepsuć to, co mądra głowa w Pradze dobrego obmyśli.

Czeski handlowiec czy bankowiec, rzucony pomiędzy Polaków — w stosunki całkiem odmienne — traci zazwyczaj głowę i popada w pewnego

rodzaju mizantropię względem otoczenia. Ma ten zwyczaj, że unika starannie zetknięcia z Polakami!!! W Krakowie np. potrafi być kilka, a nawet kilkanaście lat i nie znać z Krakowa nic, ale to literalnie nic a nic, prócz restauracyj, a że te są w Krakowie liche, twierdzi, że cały Kraków nic nie wart.

Byłoby może praktycznie, żeby taki Czech miał pewne informacye o Polsce i polskim sposobie życia — zanim tu przyjedzie i żeby przyjeżdżali tacy, na których odmienność otoczenia nie sprowadza mizantropii. Czy nie możnaby zaprowadzić w czeskich akademiach handlowych wykładu charakterystyki narodów słowiańskich?

Na razie jest rzeczą wielce potrzebną, żeby sami kierownicy czeskiej polityki ekonomicznej zjeżdżali częściej do Polski, według prawidła: „pańskie oko konia tuczy“.

Czechofilstwo pociągnie za sobą większe zainteresowanie się sprawami i stosunkami czeskiemi, co przyczyni się następnie do większego wykształcenia ekonomicznego Polaków i wpłynie na młodzież, że będzie coraz liczniej garnąć się do zawodów handlowych, przemysłowych, finansowych. Wynik dla nas niezmiernie pożądany.

Należałoby skierować na Pragę przedewszystkiem młodzież wielkopolską i Czesi powinni utrzymywać stosunki przedewszystkiem z Wielkopolanami. Niejedno, co Czechowi trudnem będzie na terenie polskim w Galicyi lub w Kongresówce, stanie się łatwem, jeżeli użyje pośrednictwa Wielkopolanina lub wejdzie z nim w spółkę.

Wielkopolanin, najbardziej z Polaków ekonomicznie wykształcony, najłatwiej się z Czechem porozumie w tym zawodzie.

Ekonomiczne odrodzenie Galicyi nie nastąpi i tak inaczej, jak przez imigracyę odpowiednich żywiołów z Wielkopolski. To jest misyą zaboru pruskiego — a Czesi powinni we własnym interesie szukać tam zawczasu spólników. Będą pożądani, bo Wielkopolska — mimo znacznego rozwoju — ma jednak braki, które może sobie doskonale uzupełnić spółką z czeskim kapitałem, czeską fabryką i z czeskim handlem en gros.

Czesi mogliby dopomódz przedsiębiorczości Wielkopolan do posunięcia się o stopień wyżej i łącznie z nimi ruszyć na inne prowincye polskie.

Bezpośrednie ekonomiczne oddziaływanie Czechów na Galicyę i Kongresówkę wyda wprawdzie rezultaty, ale znacznie mniejsze, niż sądzą w Pradze — podczas gdy współdziałanie Czech z Wielkopolską wydałoby w krótkim czasie wyniki przechodzące wszelkie marzenia.

Droga ekonomiczna z Pragi do Krakowa, Lwowa i Warszawy wiedzie na Poznań, a z Poznania do Galicyi i Kongresówki — na Pragę. Może się to dziś wydawać paradoksem, ale niedaleka przyszłość to stwierdzi. Czem prędzej się w tem zoryentujemy, tem lepiej dla nas wszystkich.

11) Na jednem polu nie wyda wycieczka czeska żadnych rezultatów i to na tem właśnie, na którem im najbardziej zależało, w którem tkwiła nawet geneza wycieczki:

nie wpłynie ona w niczem na poprawę stosunków polsko-rosyjskich.

Oficyalne sfery rosyjskie prędzej ogłoszą Czechów zdrajcami Słowiańszczyzny, niż zdecydują się na równouprawnienie Polaków, których ucisk jest dla czynownictwa kwestyą — dochodów osobistych.

Rosya ugrzęzła w kieszeni czynownika. *F. K.*

Przegląd prasy słowiańskiej.

Książę prasy **ruskiej**, *Wistnyk Towaristwa Naukowoho Imeni Szewczenki*, ogłosił artykuł p. Tauryczanina, proponujący stanowczy lek na wady „rasy ukraińskiej“: Niech się Rusini krzyżują z żydami, a „będą dzieci takie silne, że staną się pierwszymi panami w Słowiańszczyźnie“, bo będą mieć siłę fizyczną po Rusinach, a rozum po Żydach.

Skąd pewność, że nie byłoby — przeciwnie?

Narodne Słowo, przewidując zmianę namiestnika, a chcąc, żeby nim był ktoś „bezstronny i sprawiedliwy“, oświadcza, że powinien nim być „jeżeli już nie Rusin, to Niemiec. Tak samo i na innych wysokich urzędach kraju powinni Niemcy być głównymi naczelnikami. Za żądaniem tem powinien mężnie stanąć stanowczo cały naród ruski“.

Poważne więc pismo, naukowe, i gazetka ludowa zgodne są z tem, że narodowi ruskiemu ma dopomódz ktoś inny, Żyd czy Niemiec. Ktoś ma Rusinom coś dać. A oni bez pracy będą „panami“. Jakżeż? Własnem ramieniem nic?

Własnem ramieniem — owszem, ale tylko o tyle, o ile to ramię ma być zwrócone przeciw czemuś; nie do pozytywnej pracy, lecz do negatywnej. W polityce jedno tylko hasło: oppozycya! I niech jaki rozsądniejszy Rusin spróbóje na chwilę metody pozytywnej, zaraz go zahuczą, a na czele huczku stanie choćby największa dziś powaga ruska, prof. Hruszewski.

Oto ostatni (ósmy) zeszyt *Literaturno-Naukowoho Wistnyka* zawiera rozprawę polityczną p. t. „Dwa riky hałyckoj polityky“, pióra prof. Hruszewskiego.

Każdemu z nas zdawałoby się, że posłowie ruscy dosyć chyba narobili „borb“ w ostatniem dwuleciu i w sejmie lwowskim i w parlamencie wiedeńskim. Zdaniem uznanej przez ogół ruski głowy narodu była to jednak polityka pokojowa i posłowie dostają tu naganę, że nie prowadzili opozycyi takiej, jakiejby wymagała „pryncypialna polityka“. Opozycya ma być zawsze skrajna, nieprzebłagana, nie próbująca najmniejszego kompromisu ani na chwilkę, dopóki nie nastąpi „zmiana systemu“. Wszelkie targi o koncesye demoralizują tylko ludzi, a zabagniają sprawę ruską; są też niepraktyczne, bo szkoda czasu na koncesyjki, skoro i tak dostanie się wszystko od razu, gdy nastąpi „zmiana systemu“ w Austryi.

Co to za system, który ma być zmieniony, a jaki należy sprowadzić, tego autor nie określa. Pośrednio tylko, z licznych ustępów, należy wnosić, że zmianę systemu pozna się po tem, że Polacy utracą swe stanowisko w Galicyi i wpływy w monarchii. Nawet więc u największego (zdaniem samych Rusinów) uczonego ruskiego negatywna metoda myślenia! Powiedział tylko, co ma nie być! I znów niewiadomo, w jaki sposób osięgnąć to, żeby Polaków zepchnąć w dół? Autor zna tylko jeden środek: opozycya! Ta część rozumowania sprawia wrażenie wprost dziecińtwa, bo prof. Hruszewski pisze tak, jakby Rusini mieli w parlamencie ze dwieście głosów; ani słówka, z kim się łączyć przeciw Polakom, jak sobie zjednać powagę w parlamencie, jak dojść do tego, żeby rządowi i wielkim stronnictwom parlamentarnym zależało na posłach ruskich bardziej, niż na polskich itp.; słowem, brak elementarnych pojęć o polityce w państwie konstytucyjnem. Opozycya była za słaba! Trzeba ją robić mo-

cniej, tak mocno, aż rząd wystraszony zawrze spółkę z Rusinami przeciw Polakom. Autor nie wątpi, że musiałoby to nastąpić.

Nawet *Diło*, zazwyczaj przedrukowujące i wynoszące pod niebiosa każdą enuncyacyę prof. Hruszewskiego, nie kwapiło się tym razem... Socyalistyczna *Zemlja i Wolja* przytakuje za to profesorowi, żądającemu jeszcze więcej opozycyi.

A przy sposobności omawiania artykułu prof. Hruszewskiego dowiadujemy się z *Zemlji i Wolji* ciekawych rzeczy o *Dile*. Czytamy tam (Nro 37):

„*Diło* redahowane peреważno socijalistamy i radykałamy, jaki orbi et urbi hołosjat, szczo ton naprjam *Diłu* nadajut wony same"...

a o kilka wierszy niżej czytamy:

„stanowyszcze socijalistycznych i radykalnych redaktoriw *Diła*, jak ideolohiw nacionałdemokratycznoho storonnyctwa"...

A więc mieliśmy słuszność w naszem o *Dile* mniemaniu; potwierdzono je ze strony kompetentnej, bo wprost z obozu socyalistycznego.

Sprawiedliwość każe przyznać, że dziecinne wywody prof. Hruszewskiego spotkały się jednak z odprawą. *Rusłan* miał tym razem odwagę cywilną i w pięciu artykułach rozprawił się z doktrynerem poważnie a zasadniczo. Gdyby tak kilka lat temu zebrało się było grono Rusinów, zdecydowanych myśleć krytycznie... nie byłby doktryner prof. H. narobił ty leszkód w życiu publicznem ruskiem. Ale melius sero quam nunquam. Bardzo pragnęlibyśmy, żeby u Rusinów rozsądniejsi wzięli górę, ale — niestety — zdaje nam się, że ukamienowanoby ich po niedługim czasie, jako „zdrajców".

Z *Bukowyny* dowiedzieliśmy się podczas wakacyj o redaktorze *Swiata Słowiańskiego* ciekawych rzeczy:

„Dr Koneczny, widomyj widsy, szczo własne win podawaw na nedawnim polskim zjizdi w Krakowi najpohanijszi plany na zniszczenie Ukraińciw w Hałyczyni"... (podkreślenia oryginału — Nr. 170, stronica 2, pierwsza szpalta, wiersz 16-ty od dołu i następne).

Co? gdzie? jak? — Numer *Bukowyny* ma datę 10 sierpnia (n. st.) i „niedawno" przedtem mógłby redaktor nasz wykazać alibi; „zjazdu polskiego" żadnego zaś w Krakowie w tym czasie nie było! Po pewnych poszukiwaniach doszliśmy, że ojcem plotki jest *Diło,* które dowiedziało się i doniosło o „zjeździe" w Krakowie w rok po... zgromadzeniu delegatów krakowskiego Towarzystwa Ubezpieczeń, który bywa co roku, był też... w maju 1908. Klub konserwatywuy krakowski, korzystając z większego zjazdu ziemian, urządził wtedy dwa zebrania, poświęcone kwestyi ruskiej [(było to po „bohaterstwie" Siczyńskiego), na których na zaproszenie zarządu Klubu mieli referaty prof. Smolka i dr. Koneczny. Zebrania było ogłoszone w dziennikach, potem sprawozdania z nich, a referat dra Konecznego wyszedł w całości w zeszycie *Świata Słowiańskiego* z czerwca 1908. Wszystko działo się jawnie, całkiem po prostu. Na wiosnę 1909 zrobił się z tego w *Dile* jakiś specyalny zjazd przeciw ukraińcom, a z referenta (nie po raz pierwszy zresztą!) zajadły wróg narodu ruskiego. Teraz *Bukowyna* kłamstwo dalej szerzy. „Najpohanijszi plany na zniszczenie Ukraińciw" można wprawdzie czytać w druku, ale żaden Rusin kłamstwa kontrolował nie będzie...

Świat Słowiański ogłoszony został za wroga Rusi już przed czterema aty właśnie dlatego, że starał się o zgodę z nimi! Ogół Rusinów zgody

nie chce, bo składa się z socyalistów i radykałów (ruska odmiana socyalizmu: Dragomanow) i przystałby na zgodę tylko pod tym warunkiem, żebyśmy dopomogli im w Galicyi wschodniej do założenia czerwonej republiki, a potem.... wyemigrowali z niej. Przekonaliśmy się zawczasu, że „spór polsko-ruski" nie jest tak dalece kwestyą narodową i nie z patryotami ruskimi mamy do czynienia, lecz z socyalistami. używającymi kwestyi narodowej, jako pozoru. Dlatego większość prasy ruskiej rzuca się najbardziej na tych Polaków, którzy najgoręcej pragnęliby zgody z Rusią.

Trudno, głową muru nie przebijesz... trzeba żyć bez zgody z Rusinami. Niejeden jeszcze Polak będzie sobie musiał powiedzieć: oleum et laborem perdidi...

W obozie moskalofilskim byliśmy świadkami zaciekłej polemiki pomiędzy *Gałyczaninem* a *Rusią*. W lutym b. r. przeszło kierownictwo Russkiej Rady i Narodnawo Sawieta w ręce „młodych", którzy założyli *Ruś*, a uważają się za Rosyan kierunku radykalnego, w przeciwieństwie do „starych" w *Gałyczaninie*, którzy są wszyscy konserwatystami (w polskiem znaczeniu tego słowa), a nie wszyscy uważają się za Rosyan, tylko niektórzy; inni zaś poprzestają na „kulturalnem ciążeniu" do Rosyi, usunąwszy się od „ukraińców" tylko dla ich radykalizmu. Z końcem sierpnia, na zjeździe Russkoj Rady należeli więc „starzy" do opozycyi. Przygotowali się do niej dokładnie. Ostatecznym rezultatem zawieszenie *Rusi* i skandaliczne odkrycia o d-rze Dydykiewiczu, wiadome z pism codziennych, które powinnyby się skończyć śmiercią cywilną „ambasadora rosyjskiego w Kołomyi".

W prasie **rosyjskiej** zwracały uwagę artykuły prof. Pogodina w *Moskowskim Jeżeniedielniku* o Rusinach, Czechach, Serbach. Charakterystycznem jest, co pisze o Serbach:

„Szczęśliwy to kraj, ta Serbia; kraj, gdzie nieledwie z każdej skały tryskają źródła mineralne, gdzie ziemia daje olbrzymie urodzaje bez pracy, gdzie wszystko wyrasta tak bujno, silnie i szeroko, a lud zachował w swem obcowaniu tyle dawnej świeżości ducha, tyle homerowskiej prostoduszności, tyle prawdziwego dostojeństwa ludzkiego. Z całą świadomością nie mogę podać definicyi współczesnej Serbii inaczej, jak: szczęśliwa, młoda, odradzająca się Serbia".

Jest to w swoim rodzaju klasyczne — a dla umysłowości rosyjskiej charakterystyczne nad wszelki wyraz.

Mnóstwo motywów przytaczali nacyonaliści rosyjscy, by uzasadnić potrzebę wydzielenia Chełmszczyzny. *Now. Wremia* wynalazło jeden jeszcze najbardziej pono oryginalny i... przekonywujący: wydzielenie Chełmszczyzny pomoże Rosyi rozwiązać kwestyę słowiańską, to będzie krok naprzód na drodze ku połączeniu się wszystkich Słowian. „Rosyjska na wskroś demokratyczna idea państwowa — czytamy — zadała cios śmiertelny przestarzałym zasadom polskiej arystokratyczno-feudalnej państwowości. Krzewiąc bezwzględnie rusycyzm na zachodzie, kultura rosyjska opanuje stopniowo nie tylko kraj zachodni, lecz i całą zachodnią Słowiańszczyznę."

Słusznie powiedział na to *Dziennik Poznański*: „Wyobraźcie sobie Rosyę liczącą przeszło 80% analfabetów, jako mistrzynię na wskroś demokratycznych Czech!"

Organ „październikowców“ *Gołos Moskwy* i pisemko, wydawane przez „prawdziwych Rosyan“, *Swiet*, prowadziły ciekawą polemikę, która wyświetla krętacką politykę względem Polaków „rządzącego“, a właściwie wysługującego się skwapliwie rządowi „wielkiego“ stronnictwa „październikowców“.

Swiet zamieścił artykuł, w którym oskarża „październikowców“, iż zamierzają oni zdradzić sprawę rosyjską i mogą nie przeprowadzić w Dumie wyłączenia Chełmszczyzny z granic „Priwislinja“. *Swiet* nieraz oskarżał „październikowców“ o różne zamiary przeciwpaństwowe, ale dumne stronnictwo nie uważało za stosowne wytłumaczyć się przed „czarną sotnią“. Dopiero oskarżenie o sprzyjanie Polakom wydało się „październikowcom“ zanadto poważnem i widocznie zanadto obrażającem ich lojalność wobec rządu, i *Gołos Moskwy* wystąpił z odpowiedzią, w której zaręcza, że „projekt odłączenia Chełmszczyzny cieszy się wśród „październikowców“ całkowitą sympatyą“, chociaż stronnictwo jest niby wolne od wszelkiej nienawiści względem „inorodców“, która cechuje „czarną sotnię“, i sprzyja odłączeniu Chełmszczyzny tylko ze szczerej miłości do Rosyi. „Padziernikowcy“ — zaręcza *Gołos Moskwy* — nie zdradzili nigdy miłości do ojczyzny i niema wcale podstaw do mniemania, że sprzeniewierzą się tej zasadzie w sprawie wyodrębnienia Chełmszczyzny“. Nadto *Gołos Moskwy* zaręcza, że i wśród „kadetów“ są zwolennicy odłączenia Chełmszczyzny.

Okazuje się, że oskarżenie o „sprzyjanie Polakom“ jest uważane w Rosyi za tak ciężkie, iż nawet „wielkie stronnictwo“, które po kupiecku nie lubi zdradzać przed czasem swych zamiarów, nie wytrzymało i pozwoliło sobie na chwilkę szczerości.

Prasie **czeskiej** przedewszystkiem serdeczne dzięki za podniosły ton, wiejący z jej łamów podczas „wyprawy“ czeskiej do Polski.

Kochajmy się — i — ne dejme se!

Den, zaliczył *Nowoje Wremia* w Nrze 236 w osobnym artykule uroczyście „do rzędu nieprzyjaciół neoslawizmu“.

Narodni Listy cytują *Now. Wremia* już tylko dla samego cytowania (z obowiązku dziennikarskiego, jak się mówi) — lecz jeszcze bez komentarzy, tak, żeby furtki za sobą nie zamykać.

Z powodu starań o sankcyę legis Axmann Kolisko pisał *Den* jeszcze z początkiem sierpnia:

„Mamy prawo wymagać od Polaków — pisze dalej *Den* — którzy są dzisiaj sojusznikami Niemców, a przez swych ministrów wywierają wielki wpływ w rządzie, żeby stanęli w tej sprawie po naszej stronie. Polacy, wiedzący z niedoli swych wielkopolskich braci, jaką wagę ma szkoła dla życia narodowego narodu zagrożonego, nie staną zapewne w rzędzie tych, którzy duszą nasz naród, a sięgają już także do Galicyi i tam chcą wśród Polaków popierać także politykę hakatystyczną. Mamy niezłomną wiarę, że i u tych Polaków, którzy upatrują dziś korzyść własnego narodu w nienaturalnym sojuszu z Niemcami, w sprawie sankcyi lex Kolisko obudziłoby się jednak sumienie słowiańskie.

„Sankcya tej ustawy zraniłaby nas w miejscu najdotkliwszem. My żyjemy tylko swemi „mniejszościami“, totеż każdy cios im zadany, rani cały naród i całemu wyrządza szkodę. Nadanie wnioskowi Koliski mocy obowiązującej przez sankcyę monarszą, oznaczałoby, że państwo austryackie przechodzi zupełnie w służbę wszechniemiecką, wyłączając naród czeski na zawsze od udziału

w kierownictwie spraw państwowych. Ale do tego zapewne nie dojdzie i dojść nie śmie, bo żaden rząd, choćby jeszcze bardziej niemiecki, niż gabinet Bienertha, nie może brać na się odpowiedzialności za położenie nieprzyjaźni pomiędzy dziewięciu milionami Czechów, a państwem austryackiem".

Czeskie przedłożenia rządowe, wniesione w sejmie czeskim, spotkały się z surową krytyką całej prasy czeskiej, jako jednostronne i mające wyjść Niemcom na korzyść. Organ Dra Kramářa, *Den*, ocenia je w następujący sposób:

Powiększenie Wydziału krajowego o dwa mandaty ma na celu, żeby do naczelnej magistratury krajowej wszedł trzeci jeszcze Niemiec. Zwiększenie liczby tych mandatów dałoby się było usprawiedliwić przedtem nawałem pracy w Wydziale krajowym, którego agendy rosną szybko z roku na rok — ale rząd proponuje to teraz, równocześnie z projektem zaprowadzenia administracyi obwodowej, mającej ograniczyć kompetencyę Wydziału krajowego, a więc ująć mu zarazem znacznie pracy.

Projektowana przez rząd zmiana sejmowej ordynacyi wyborczej sprzeciwia się zasadniczo postulatom wszystkich czeskich stronnictw demokratycznych, pragnących głosowania powszechnego i równego. Utworzenie nowej kuryi powszechnego głosowania — obok dawnych cenzusowych i stanowych — określono w ten sposób, że dano niesprawiedliwie przewagę wsiom nad miastami.

Przedłożenie językowe dla urzędów autonomicznych nie określa dość ściśle zasady, że gminy niemieckie są obowiązane przyjmować podania czeskie — ale czyni zadość żądaniu Niemców, ustanawiając dwujęzyczność dla miasta Pragi. Niegdyś godzili się Czesi na utrakwizm taki w stolicy kraju. Ale „czasy się zmieniły"; w stolicy Moraw, Bernie, nie popiera rząd czeskich dążeń do równouprawnienia, w Wiedniu odrzuca się brutalnie wszelkie postulaty czeskie — a więc Praga nie ma powodu być powolniejszą.

Projekt ustawy o podziale kraju na obwody (większe całości administracyjne, mieszczące po kilka dzisiejszych powiatów) z sejmikami obwodowymi, zmierza do podziału Czech na część czeską i niemiecką, a wymaga znacznych kosztów, a więc podwyższenia krajowych dodatków do podatków. Obwody winny być rozgraniczone zupełnie inaczej, niż w przedłożeniu rządowem, które uwzględnia tylko jeden cel: narodowy rozdział Królestwa Czeskiego, a nie uwzględnia całkiem stosunków ekonomicznych, komunikacyjnych, kulturalnych i t. p. Na administracyę obwodową możnaby przystać w takim tylko razie, gdyby je rozgraniczono w sposób nie budzący obaw o zamierzony podział Królestwa (jak tego pragną Niemcy), tudzież, gdyby ścieśniając kompetencyę sejmu na rzecz sejmików obwodowych — ścieśniono zarazem kompetencyę Rady państwa na rzecz sejmów krajowych.

W obecnej formie przedłożeń rządowych przyjąć nie można, bo „ignorują nasze żądania, a są powolne tylko dla dążeń niemieckich",

„My domagamy się, żeby namiestnik był odpowiedzialny przed sejmem, a rząd rozszerza kompetencyę nieodpowiedzialnego sejmowi namiestnika, dając mu prawo rozwiązywania sejmików obwodowych i Wydziałów obwodowych bez apelacyi; my chcemy, żeby sejm krajowy, jak wszystkie ciała prawodawcze, mógł sobie sam wybierać przewodniczącego, a rząd obstaje i przy nowych sejmikach przy prawie Korony nominowania prezesa obwodu. Duch tych przedłożeń rządowych jest niemiecki i antydemokratyczny!"

Ogólne wrażenie i stanowisko swoje wobec wniosków rządowych określa *Den* w następujący sposób:

„Pięć przedłożeń, które rząd wnosi do sejmu czeskiego, jest złotym mostem, po którym mają Niemcy przejść do pokojowej pracy w sejmie. Przedłożenia te nie są bynajmniej — jak przypuszcza wiedeński (półurzędowy) *Fremdenblatt* — fundamentem pod pokój narodowy, albowiem pokój, który byłby oparty na tak wątłej podstawie i tak pokierowany na korzyść jednej strony, nie przetrwałby ani nawet swego inicyatora, którego bliskie usunięcie jest właśnie w interesie pokoju narodowego. Baron Bienerth dogadza temi przedłożeniami Niemcom, chociaż dzienniki niemieckie mogą udawać niezadowolenie".

W podobny mniej więcej sposób przyjęła przedłożenia „ugodowe" cała prasa czeska.

Nový Věk podał w Nrze 50 następującą znamienną notatkę p. t. „Nowy kurs":

„Od pewnego czasu wspomina się w Austryi stare czasy, minione a sławniejsze od współczesnej doby. Najpierw uroczystość Radeckiego w Wiedniu. Towarzyszące jej objawy określały cel uroczystości: rozbudzić w Austryi na nowo pewność siebie, dodać ducha i wskrzesić upadającą już wiarę w pełną znowu sławy przyszłość Austryi. Twierdzi się też całkiem poważnie, że z powodu tej uroczystości popadł w niełaskę prezydent ministrów baron Beck, bo nie wziął udziału w uroczystości; wkrótce też potem upadł. Tenże cel miał obchód rocznicy zwycięstwa pod Aspern. Niedawno urządzono obchody wielkich walk bohaterskich Tyrolczyków z Francuzami i Bawarczykami... Te trzy obchody oznaczają nowy kurs w Austryi. Powiał ponad Austryą nowy wiatr. *Čas* (organ realistów czeskich) określiłby go, jako politykę konopiszczańską (Konopiště, zamek następcy tronu). Nie byłoby to złe, taki powiew większej pewności siebie i odnowienie starych tradycyj Austryi. Niechby jednak nie zapomniano, że Austrya może być wielką i silną, a zwłaszcza na nowo sławną wtenczas tylko, jeżeli będzie sprawiedliwą wobec wszystkich narodów, zwłaszcza też wobec Czechów. Zapewne, że i z czeskiej strony trzeba nad tem popracować, zwłaszcza nie dopuszczać, żeby powstało mniemanie, że objawiające się gdzieniegdzie ekstrawagancye postrzelonego radykalizmu i demagogicznego szarlataństwa są opinią i przekonaniem narodu. Nie całować po rękach, ale też nie być prostakiem! Zwłaszcza koła poważniejsze muszą mieć odwagę, żeby wypowiedzieć swe zdanie we właściwym czasie, choćby je za to miała spotkać klątwa z obozu demagogów".

Čas zamieścił korespondencyę z Moraw z powodu rozszerzania się organizacyi „Orłów", przeszczepionej za przykładem słowieńskich katolików na Morawy przeciw liberalizującym „Sokołom". Zdaniem niechętnego katolicyzmowi korespondenta „katolickie Orły są zasłużoną karą na Sokołów, bo Sokół przez tyle lat i w tylu gniazdach okazał bardzo niewiele zrozumienia dla właściwej istoty Fügnera, a głównie Tyrša (czescy ojcowie Sokolstwa)". Poprzestano na ćwiczeniach i paradach, nie dbając o podnoszenie w społeczeństwie poziomu etycznego i umysłowego; gdyby Sokół nie był zaniedbał tych pól pracy społecznej, nie byłoby Orłów. Trzeba będzie pogłębić działalność Sokolstwa.

Artykuł nasz z poprzedniego zeszytu „Dr. Kramář na tle neoslawizmu" powtórzyły czeskie *Plzeňské Listy*, tudzież *Moravská Orlice* (Berno).

Artykuł Dra Konecznego z „czeskiego zeszytu“ warszawskiego *Swiata* powtórzył *Den*, a streściła *Moravská Orlice.*

O procesach politycznych **słowackich** niesposób rozpisywać się szerzej w każdym zeszycie; dość powiedzieć, że ten stan rzeczy trwa ciągle i rzadko zdarzy się tydzień bez jakiej wiadomości o nowym procesie.

Madiaroni zajęci są próbami sklejenia „umiarkowanego stronnictwa słowackiego“. *Ludove Noviny* tak się o tem wyraziły:

„Umiarkowane słowackie stronnictwo, t. j. takie, któreby pod pozorem umiarkowania, zamiłowania pokoju i fałszywej miłości chrześcijańskiej starało się omamić Słowaków, rozdwoić i wprowadzić na madiarskie podwórko — takie stronnictwo byłoby bardzo miłe obecnym politykom. Čo sa babe chtilo, o tom sa jej snilo. Gazety madiarskie i prasa zagraniczna piszą ciągle o takiem stronnictwie, któreby szukało porozumienia z madiarskimi politykami na podstawie madiarskiej idei państwowej, bo w ten tylko rzekomo sposób można dojść do jakiegoś rezultatu w sprawie słowackich postulatów językowych, politycznych i ekonomicznych. Nie trzeba długo wykazywać, że to wszystko jest kłamstwem, chytrem oszustwem. Madiarska idea państwowa nie zna bowiem na Węgrzech innego narodu, jak tylko madiarski, a oznacza ona zmadiaryzowanie wszystkich narodów Węgier. Wszak wie o tem każde małe dziecko. Nasz zaś słowacki program narodowy osnuty jest na zasadzie, żeby zachować naród słowacki od zatraty narodowej, obronić i wzmocnić naszą narodowość. Zasady słowackości a idei państwowej madiarskiej są nawzajem tak zupełnie sprzeczne, jakby zasady wiary katolickiej a żydowskiej. Albo jest się żydem, albo chrześcijaninem; nie można być żydochrześcijaninem...“

„...Żydowsko-madiarskie pismo *Budapesti Hirlap* zapowiada, że jesienią zjadą się wybitni panowie z Górnych Węgier i będą radzić o założeniu umiarkowanego stronnictwa słowackiego. Nowy ten ruch ma się przejąć znów zapatrywaniami hr. Juliusza Andrassego, dawnego prezydenta ministrów, który wzywał swego czasu „patryotycznych“, „górnowęgierskich“ (a więc nie słowackich) panów (nie lud i szerokie warstwy narodu, ale panów), żeby założyli umiarkowane stronnictwo narodowe słowackie, spoczywające na zasadzie wierności madiarskiej idei państwowej, wolne od wszelkiego wpływu z zewnątrz. Andrassy junior radby więc wskrzesić stare madiarońskie stronnictwo z siódmego dziesięciolecia zeszłego wieku, żeby ono broniło interesów pańskich. Właściciele większych posiadłości ubiliby w ten sposób trzy muchy naraz: rozdwoiliby słowackich patryotów, osłabiliby madiarskie stronnictwo ludowe i pokazaliby w Wiedniu, że i Słowaków mają za sobą i że niema tam zwolenników powszechnego prawa głosowania. Na pluralność przystaliby podobno chętnie. Biedacy, myślą, że żyjemy około r. 1860. Dzisiaj już daremnie będą się panowie trudzić“.

Uświadamianie narodowe ludu słowackiego odbywa się w znacznej — a może nawet po większej części — przez hasła „klasowe“, a mianowicie przeciwstawianie ludu „panom“, bo „panowie“ nie są tam wcale Słowakami. Walka z madiaryzacyą — to dla chłopa słowackiego walka z madiarskim właścicielem dóbr.

W sierpniu podróżował po Słowaczyźnie publicysta madiarski Oskar Jászi, zajmujący się od dłuższego czasu sprawą „narodowości“, który też

nieraz już głos zabierał w tych kwestyach. Bawił on też w Anglii, żeby studyować stosunki szkockie i irlandzkie, w Belgii, w Niemczech, i w Cislitawii. Madiaryzatorzy Słowaczyzny sprawili na nim wrażenie przykre — jak się wyraził — „przez swą bezwzględność w łamaniu ustaw i wymogów sprawiedliwości". Madiaroni sprawili na nim wrażenie ludzi posiadających władzę, a nie przysposobionych do tego i całkiem nie oryentujących się w sprawach politycznych. Pochwalnie wyraża się natomiast o intelligencyi słowackiej. Razu pewnego komentował artykuł wstępny *Slovenskeho Tyždennika*, który zwrócił uwagę wieśniaków słowackich i wyraża podziw, jak chłop słowacki potrafi wniknąć w takie kombinacye polityczne, których jego zdaniem nie zdołałby żadną miarą pojąć chłop madiarski.

Wiadomo, że katolicy **słowieńscy** byli walną podporą niemieckiego obozu chrześcijańsko-społecznego, pozostając z nimi w sojuszu przez długie lata. Założenie słowiańskiej „Jednoty" w parlamencie nie miało też wcale oznaczać zerwania dobrych stosunków z Luegrowcami. Ale stało się, że Luegrowcy głosowali w sejmie dolnorakuskim za prośbą o sankcyę legis Axmann-Kolisko, tj. żeby w Wiedniu i w Austryi Dolnej językiem wykładowym w szkołach mógł być tylko niemiecki.

Slovenec z 18 września wystąpił ostro przeciw Luegrowi. Pisze, że lex Axmann-Kolisko jest jeszcze brutalniejsza od lex Apponyi na Węgrzech i że postępowanie stronnictwa chrześcijańsko-społecznego nie jest katolickie. Wstyd to dla niemieckich katolików Austryi. że socyalista Seitz musiał bronić w Sejmie zasady katolickiej przeciw nim, podczas gdy niemiecki kapłan ks. Swoboda bronił prawa przeciwnego wręcz katolickim zasadom. Wobec tego muszą słowieńscy katolicy wziąć sprawę katolicką w Austryi w swoje ręce, bo poszłaby ona zupełnie na marne w ręku niemieckich chrześcijańsko-społecznych. Gdyby gabinet Bienertha podał ustawę do sankcyi, popełniłby samobójstwo. Niema obawy, żeby sankcya nastąpiła; ale żałować wypada świetnego niegdyś stronnictwa „der Christlich-sozialen".

Artykuł to niezmiernie ważny i pełen znaczenia. Rozbrat katolików słowieńskich z Luegrowcami jest faktem, mającym pierwszorzędne znaczenie dla spraw wewnętrznych monarchii. Trudno przypuścić, żeby w piśmie poważnem — a takiem jest *Slovenec* — rzucano na wiatr takie słowa, jak o wzięciu sprawy katolickiej w swoje ręce; należy się domyślać, że Słowieńcy z obozu Šusteršiča mają poparcie bardzo wysoko, zwłaszcza, gdy zaręczają, że ustawa nie otrzyma sankcyi. A nadto ma ten artykuł zasadnicze znaczenie przez to, że przypiera przeciwnika do muru w imię katolicyzmu.

Po raz pierwszy podobno w Austryi powiedziano tu, że prześladowanie narodowości jest przeciwne religii, że równouprawnienia wymaga — katolicyzm, wymagają zasady religijne.

Ten artykuł ma znaczenie dla historyi kultury.

Gdy większość księży katolickich nabędzie tego przekonania, natenczas nastanie odrodzenie Kościoła, odrodzenie i uspokojenie narodów i zacznie się nowy okres w historyi Europy. Toteż ze wzruszeniem i błogosławieństwem w myśli czytać musiał ten artykuł Polak, mający w swej tradycyi narodowej i kulturalnej ideę Krasińskiego o „Kościele św. Jana".

Pierwsza połowa września zapełniona była w pismach słowieńskich polemiką z powodu krytyki, jaka spotkała „Jednotę“ słowiańską w parlamencie ze strony posła Perića. Zdaniem jego nie wszystko tam takie, jakby być powinno. Zarzucał posłowi Šušteršičowi, że często działa na własną rękę, a „Jednota“ bywa zaskoczoną faktem dokonanym. Zwłaszcza zarzuca Perić Šušteršičowi ignorowanie posłów dalmackich, a nawet terroryzowanie ich.

Stronnictwo ludowe (katolickie) nabiera niezwykłej pewności siebie. Zorganizowane znakomicie, rozporządzające znacznym kapitałem, a oparte na przywiązaniu mas (jedyne stronnictwo w Austryi, którego wybory nie kosztują ani grosza!), ma po swej stronie taką liczebną przewagę w narodzie (na pewno przynajmniej 85⁰/₀ wyborców), że nie za stronnictwo się uważa, ale za organizacyę reprezentującą naród. Ma to swe ujemne strony; ale przyznać trzeba bądźcobądź, że genialny organizator, ks. Dr. Krek, dokazuje cudów i że dzieło jego jest siłą polityczną, która — jeżeli słowieńskim „ludowcom“ będzie się dalej również powodzić — urośnie w potęgę, mogącą dyktować warunki Wiedniowi. A nie jest to wcale organizacya tylko „klerykalna“ i nie chodzi w niej tylko o utrzymanie panowania katolicyzmu lub przewodniego stanowiska księży; jestto organizacya patryotyczna, której ostatecznym celem zjednoczenie południowej Słowiańszczyzny. A że z Jugosłowian Słowieńcy są najpracowitsi, najrozsądniejsi, najoszczędniejsi, najpoważniejsi, nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby się kiedy okazać miało, że jugosłowiański Piemont nie był ani u Karadżordżów, ani u Petrowiciów, lecz niedaleko Wiednia — koło Lublany.

Zdaje mi się, po raz pierwszy słowieńscy ludowcy sami odezwali się z tem publicznie. *Slovenec* wystąpił z zapowiedzią, że katoliccy ludowcy rozszerzą swą organizacyę na Chorwacyę. O ile nam wiadomo, próby odbywały się już od kilku lat. Widocznie się powiodły, skoro się rzecz głosi publicznie (stronnictwo p. Šusteršiča nie bywa gadatliwem). *Slovenec* zapowiada utworzenie wspólnego, słowieńsko-chorwackiego komitetu organizacyjnego, następnie pierwszy wiec katolicki jugosłowiański, który będzie imponującą manifestacyą jedności kulturalnej, a może i politycznej — a w dalszym ciągu może na tem tle katolicko-politycznem wyróść tryalizm i jugosłowiańskie osobne królestwo pod berłem Habsburgów. Tak mówi sam *Slovenec*.

Faktem jest, że w ostatnich czasach nastąpiło wielkie ożywienie w organizacyach katolickich w Zagrzebiu, w Spljecie i w Sarajewie.

Liberali słowieńscy osłupieli. Wybawił ich z kłopotu Chorwat, prezes „hrvatske napredne stranke“ Dr. Lorković, zapowiadając wspólną organizacyę wszystkich postępowych stronnictw słowieńskich, chorwackich i serbskich przeciw „klerykalnemu zalewowi“. Czy i przeciw tryalizmowi? Otóż to — że koniec końców cele polityczne wszystkich są te same i musi przyjść chwila, że nienawiść stronnicza dojdzie do absurdu, okaże się walką o wiatraki, o czcze frazesy. Stronnictwo katolickie, mając olbrzymią taką przewagę, ma siłę, może więc łatwiej coś zdziałać; a gdy zdobędzie coś dla ideału „Jugoslavii“ — ułatwiając drogę tryalizmowi, któż będzie oponował w imię „liberalizmu“?

Dnia 22 września zebrali się w Lublanie wszyscy członkowie komisyi wykonawczej stronnictwa katolickiego słowieńskiego, zwącego się ludowem; nie brakowało ani jednego. Poseł Dr. Šušteršič, głowa stronnictwa, referował o położeniu politycznem i oświadczył:

„Stanowcza taktyka słoweńskiego stronnictwa ludowego i czeskich agraryuszów okazała się trafną. Solidarność „Jednoty słowiańskiej“ nie dała się złamać małostkowemi zabiegami, co okazało się zwłaszcza przy sposobności konferencyi Dra Głąbińskiego. Co się tyczy uniwersytetów słoweńskiego i włoskiego, Słowianie południowi nie przystaną bezwarunkowo na włoski uniwersytet w Tryeście. Również nie dadzą się zaspokoić projektem, żeby zamiast uniwersytetu słoweńskiego w Lublanie, urządzono na czeskim uniwersytecie w Pradze docentury słoweńskie. Burmistrz lublański Hribar wymyślił ten projekt z miłości dla rządu, ale my nie dopuścimy do takiego załatwienia słoweńskiej sprawy uniwersyteckiej. Przełożenie seminaryum nauczycielskiego słoweńskiego z Kopru do Gorycy (wbrew Włochom) jest zasługą słoweńskiego stronnictwa ludowego. Rząd musi się liczyć z tem, że lud słoweński uprawia politykę świadomą celu i nie opuści ani na włos ze swych praw. Co się tyczy sejmu czeskiego, jakkolwiek rzeczby się zdecydowała, faktem pozostanie, że klub słoweński będzie postępować zgodnie z czeskiem stronnictwem agrarnem. Rozwiązanie Rady Państwa i nowe wybory są możebne“.

Z powodu zamierzonego przez „Kółko dramatu klasycznego“ uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego wycieczki do Lublany, zamieścił *Slovenec* w Nrze 193 artykuł p. t. „K izletu poljskich akademikov v Ljubljano“, wprost entuzyastyczny. Między innemi wyrażono tam zapatrywanie, że młodzieży słoweńskiej byłoby lepiej jeździć na studya do Krakowa, niż do Pragi — i powiedziano o stosunkach polsko-czeskich, że jakkolwiek Polakom imponuje rozwój ekonomiczny Czechów, potępiają jednak ich „metodę kramarską“.

Ktoś uważał za stosowne napisać o tem cały artykuł do praskich *Narodnich Listów* i — proszę sobie wyobrazić — *Nar. Listy* całkiem poważnie wzywały, żeby Polacy powiedzieli, co rozumieją przez ową „kramarską metodę“, co to ma znaczyć itp.

Ślusarz zawinił, a kowala wieszać chcieli! A cóż my mamy być odpowiedzialni za Słoweńca? Słoweniec pisał, jego pytajcie, niech on wam odpowie.

Wycieczka naszych akademików, dalekich od wszelkiej polityki, zamierzających dać tylko w Lublanie dwa przedstawienia teatralne, nie spodobała się gazecie liberalnej, *Slov. Narodovi.* Zaczął wietrzyć w niej jakiś najazd polskich „klerykałów“ na Lublanę! Ponieważ *Slovenec* zjednywał dla polskiej młodzieży sympatyę publiczności, a więc *Slovenski Narod* musiał z zasady być innego zdania.

Tym razem było to bardzo komiczne. Sam bowiem właściciel *Slov. Naroda*, burmistrz Lublany, Hribar — jak wiemy z najlepszego źródła — rad był wycieczce naszej młodzieży i byłby ją powitał również serdecznie, jak głowy „klerikalców“. A nasi jechali do Słoweńców, jako takich, i byłoby im wszystko jedno, do jakiego który należy stronnictwa; byliby też osłupieli ze zdziwienia, dowiadując się, że podróż ich może być rzeczą „klerykalną“ albo „liberalną“. Takich dziwactw u nas w Polsce niema.

Wycieczka miała wyruszyć 16 września, ale nie doszła do skutku. Rząd zakazał przedstawień polskich w teatrze lublańskim w tym czasie — bo na 20-go przypadała rocznica „krwawej niedzieli“ lublańskiej. Zakazano wszelkich wogóle zgromadzeń i zjazdów w tym czasie.

Slovenski Narod wzywał, żeby rocznicę obchodzić demonstracyjnie, —

Slovenec zachęcał do zachowania spokoju i przestrzegał przed wszelkiemi pustemi manifestacyami ulicznemi.

Spraw polskich dotyczył też obszerny artykuł w Nrze 191 *Slovenca* p. t. „Svatopolka smo sinovi...“, zajmujący się głównie sprawą słowianofilstwa w Krakowie. Wdzięczni bardzo za łaskawe dla nas słowa, musimy jednak zrobić uwagę, że artykuł jest mało krytyczny. Odczyt przeciwny idei słowiańskiej p. Studnickiego w tutejszem akademickiem stowarzyszeniu „Zjednoczenie“ (podczas ostatniej zimy), to rzecz nic a nic nie znacząca w naszem życiu publicznem i nie było o czem się rozpisywać całemi szpaltami.

Niezliczona jest już w **Chorwacyi** ilość prób, poczynionych przez bana Raucha celem wskrzeszenia „madiaronów“ w Chorwacyi, a każda spełzła nietylko na niczem, ale pogłębiała coraz bardziej przepaść pomiędzy rządem a społeczeństwem. Teraz chwycił się nowego sposobu. Poświęciwszy znienawidzonego wicebana Czernkovicha (Černković — który pisze jednak nazwisko swe madiarską pisownią), sam usunął się, jakby na drugi plan, a każe działać nowemu wicebanowi Cuvajovi.

Cuvaj wystąpił z programem stronnictwa „unionistycznego“ (istniejącego dotychczas tylko w wyobraźni politycznej bana i wicebana). Rząd centralny spełni ekonomiczne dezyderaty Chorwatów; urzędnikami kolejowymi na terytoryum chorwackiem mają być albo Chorwaci znający język madiarski, albo poddani węgierscy posiadający język chorwacki; ugody nie może atoli przeprowadzić stronnictwo t. zw. koalicyi serbo-chorwackiej, lecz koniecznie nowe stronnictwo „unionistyczne“.

Minister chorwacki przy rządzie centralnym, Josipović, pochwaliwszy projekty Cuvaja, wskazał też na koalicyę serbo-chorwacką; jako główną rzekomo przeszkodę pożądanej zgody z Węgrami, bo na Węgrzech nikt nie ma do tego stronnictwa zaufania; do zgody może doprowadzić tylko stronnictwo unionistyczne, do którego mogliby też wejść niektórzy członkowie obecnej koalicyi serbo-chorwackiej.

Pisma koalicyjne odpowiedziały na to, że § 57—59 ugody chorwacko-węgierskiej z roku 1868 uznają wyraźnie język chorwacki, jako jedyny i wyłączny język urzędowy w całem królestwie chorwackiem, we wszelkiem urzędowaniu, a więc i na kolejach żelaznych. Skoro rząd centrany zaprowadza na kolejach chorwackich język madiarski, dopuszcza się bezprawia, a gdyby Chorwaci sankcyonowali to bezprawie, chociażby z razu w formie jak najłagodniejszej, zrzekaliby się dobrowolnie swych praw nie podlegających żadnej wątpliwości — i w rezultacie pokazaliby tylko Madiarom drogę do dalszego ukracania praw królestwa chorwackiego.

Wydawana w Osieku po niemiecku *Drau* napisała, że Rauch przyjmuje pomoc Franka tylko o tyle, o ile tego trzeba do utworzenia stronnictwa rządowego, poza tem zaś zachowują starczewicianie wolną rękę. Niema w tem właściwie nic nowego — dodała *Drau* — bo związek między starczewiciaństwem a madiarońatwem czuć już było za czasów bana Khuena. Ponieważ wydawcą *Drau* jest krewniak Franka (Pfajfer), artykuł zwrócił uwagę. Wszak zachowywanie sobie „wolnej ręki“ po zapisaniu się do stronnictwa rządowego jest zaiste dziwnym rodzajem niezależności od rządu. *Hrvatska Sloboda* inter-

pretowała więc artykuł, jako inspirowany przez Franka, że Frank przyznaje się już do sojuszu z Rauchem.

Hrvatsko Pravo, opisując, jak ban Rauch wziął sobie za zadanie rozbić „propagandę serbską", dodało, że każdy Chorwat powinien popierać w tem bana. Koalicya serbo-chorwacka winna, że sejmu nie zwołano, a rządy Raucha są o wiele lepsze od przypuszczalnych rządów koalicyi. „Posłowie naszego stronnictwa, postępując ściśle według wskazówek sławnego A. Starčevića, nie uderzają na osoby z rządu, tylko walczą z systemem" — do którego-to zdania dodaje *Dom:* „a więc nie uderzają istotnie na Raucha, tylko wyczekują na niego w podróży z łukami tryumfalnemi!" Wskazówka bowiem A. Starčevića znana jest od dawna: wolno uderzać na wszelkich przeciwników, prócz rządowych. Toteż sam A. Starčević ścierał się, nieraz nawet gwałtowniej, z takim Štrossmajerem, ale nigdy z członkami rządu. Dalszym ciągiem starczewiciaństwa jest „frankowsztina", trzymająca się najściślej tej samej taktyki.

„Sławny" A. Starčević pisywał do dzienników subwencyonowanych przez ówczesnego bana Raucha, ojca dzisiejszego bana i nie tail się z tem, każąc zważać nie na to, gdzie pisze, ale co pisze. „Jest rzeczą niewątpliwą — pisze dalej *Dom* — że starczewiciaństwo, to walka raczej ze „slavosrbima", niż z Madiarami lub madioranami. To już wiadoma rzecz. A dokąd to doprowadziło, widzimy na dzisiejszej frankowszczyźnie". A czy mogą być z tego inne owoce, niech wykażą ludzie grupujący się około Mi e Starčevića — kończy *Dom*.

Z Milem Starčevićem toczył właściciel *Doma*, Stjepan Radić, układy o połączenie stronnictwa chłopskiego z jego grupą. Rozbiły się o niektóre punkty, pomiędzy innemi o to, że Mile S. nie chciał przystać na warunek, żeby w zarządzie stronnictwa chłopi mieli większość.

W połowie sierpnia ogłosiła osiecka *Narodna Obrana*, że Stjepan Radić przygotowuje złączenie („fuzyę") swego stronnictwa ludowego ze stronnictwem frankowców...?! — Tem pilniej czytywaliśmy *Dom* i znajdywaliśmy tam wciąż ostrą polemikę z frankowcami.

Zagrzebskie *Novosti* ogłosiły interview z posłem dalmackim ks. Fr. Ivaniševićem na temat tryalizmu. Ksiądz poseł mniema, że sprawa chorwacka jest obecnie aktualną; bez uwzględnienia jej nic zdoła się Austrya dalej rozwijać. W Wiedniu zaczynają to rozumieć, a „co mówili niedawno w parlamencie Lichtenstein, Morsej i Redlich, nie mówili tego z miłości do Chorwacyi, ale w interesie Austryi. Jako patryota chorwacki, mogę nie wierzyć w szczerość tych objawów, ale jako polityk muszę się z tem liczyć. Woda idzie na nasz młyn, nie trzeba jej odwracać. Madiarom tryalizm nie jest miły, co łatwo zrozumieć. Jest on wymierzony przeciw dualizmowi, żeby sparaliżować potęgę Madiarów, będących dziś panami położenia, Dwór wiedeński jest im we wszystkiem powolny, co jest nader żałośnem dla naszych stosunków, zwłaszcza obecnie, w Zagrzebiu i w całej Chorwacyi".

Trzecia grupa tryalizmu — mówił dalej ks. Ivanišević — składałaby się z następujących połączonych ziem chorwackich: Chorwacya, Slawonia, Bośna, Hercegowina, Dalmacya, Istrya — ale droga do tego celu niełatwa i daleka. „Obecnie sfery dworskie nie chcą zrażać sobie Madiarów i trzebaby, żeby z wiedeńskiego Burgu zawiał inny wiatr. Nie wszyscy też Słowianie są zwolennikami tryalizmu, a Czesi i Polacy są mu wprost przeciwni, bojąc się, że

osłabiłaby się ich pozycya w Wiedniu. Sądzę, że Polacy nie ponieśliby żadnej szkody, gdyby zmienili swą politykę, dotychczas egoistyczną; gdyby byli w Wiedniu, że tak powiem, przedewszystkiem Słowianami, a potem dopiero Polakami".

To, czego żąda ks. poseł z Dalmacyi, jest po prostu nonsensem i przeciwne przyrodzeniu. Nie bylibyśmy Słowianami, gdybyśmy nie byli Polakami! I mielibyśmy prawo oświadczyć: Niechże Chorwaci nie będą egoistami i skoro tryalizm ma szkodzić Czechom i Polakom, niech się go zrzekną dla miłości pobratymców, żeby zasłużyć sobie na opinię, że są przedewszystkiem Słowianami, a potem dopiero Chorwatami. My takich ambicyj nie mamy. Ale swoją drogą po raz pierwszy słyszymy, że Polacy mają być przeciwnikami tryalizmu. Ksiądz Ivanišević nie wiedzieć skąd czerpał swoje informacye o Polakach? Ask oro o Polsce i Polakach tak błędne ma pojęcia, trudno polemizować z jego krytyką Polaków. Możemy uwzględniać krytyki tylko takich, którzy znają nas i nasze stosunki.

Prasa **serbska** wyrzeka, że Serbia nie ma obecnie spokoju ani od Turcyi, ani od Bułgaryi, ni z Bośny, ni z Zagrzebia. W Zagrzebiu trwa ciągle proces o „zdradę główną", skierowany nietylko przeciw 53 oskarżonym Serbom, ale wprost przeciw Serbii, przeciw królowi i rządowi serbskiemu, o których codziennie rozprawia się na sali sądowej z pomijaniem wszelkich względów międzynarodowych. Widoczną jest tendencya sfer rządowych austro-węgierskich, żeby z procesu tego okazywało się, jakoby nie mogło być spokoju w Europie, póki Serbia jest państwem niepodległem.

W Turcyi dzieje się obecnie obywatelom serbskim gorzej, niż za dawnych rządów despotycznych. Prasa serbska narzeka, że „huriet" (wolność) nie istnieje zgoła dla Serbów pod panowaniem tureckiem. Arnauci i nizamowie tureccy nie ustają w wyprawach na granice serbskie i raz wraz napadają na terytoryum królestwa serbskiego. W pierwszej połowie sierpnia były znowu dwa takie napady. Dn. 5 sierpnia odbyły się utarczki we wsiach serbskich Previtica, Merdar, Matorovo, Vasiljevo — i trwały przez trzy dni. Arnautów i nizamów było przeszło 1200.

O kampanii bułgarskiej prasy przeciw Serbii patrz niżej.

Trgovinski Glasnik zamieścił obszerną korespondencyę ze Zagrzebia, wywodzącą, że Austrya z konieczności musi w końcu urządzić się tryalistycznie i dążyć następnie do tego, żeby Serbia sama prosiła o przyłączenie do monarchii habsburskiej — a więc wytworzyć w Serbii stronnictwo austrofilskie. W ten sposób „kopie się dołki pod Serbią". Korespondent kładzie nacisk na to, że Austrya nie podjęłaby wojny dla zyskania Serbii.

Ażeby nie kłamać milczeniem, objawimy tu swe zdanie: Skoro Austrya nie prowadziłaby wojny zaborczej przeciw Serbii, skoro stronnictwo austrofilskie miałoby tam większość, skoro Serbowie sami byliby zdania, że im lepiej będzie pod królem habsburskim, skoro byliby przyłączeni do monarchii „tryalistycznej", a więc do chorwacko-serbskiego Trójjedynego Królestwa — nie traciliby tedy niepodległości — toć to byłoby złe tylko dla Karadżordżów, ale bardzo dobre dla narodu serbskiego. Przyłączenie Bośny i Dalmacyi do tego państwa byłoby już potem tylko kwestyą czasu i to niedługiego i cały naród serbo-chorwacki byłby zjednoczony w jednem, a swem własnem, narodowem państwie.

Belgradzka *Pravda*, organ stronnictwa postępowego, a więc stronnictwa,

będącego do niedawna u steru, z którego wyszedł prezydent ministrów Nova-ković — zamieściła senzacyjny artykuł antydynastyczny. Redakcya wywodzi, że cały okres od zabicia Obrenowiciów aż do wypadków po anneksyi Bośny i Hercegowiny, nosi na sobie piętno sromoty, którego nie zdoła zetrzeć z kraju żaden rząd, ktokolwiek stanąłby na jego czele. Jedyna rada: zmienić osobę samego naczelnika państwa. Polityką zagraniczną kieruje wszędzie z reguły sam panujący, a Serbia niema władcy, który byłby zdatny do tego. Serbia cierpi na dotkliwą chorobę, na którą jedyne lekarstwo w zmianie dynastyi.

Z powodu pogłosek o staraniach królewicza Jerzego, żeby odzyskać stanowisko następcy tronu, pisał *Odjek*, że mogłoby to utrudnić do najwyższego stopnia stanowisko dynastyi w kraju. Inne pisma stronnictwa młodoradykalnego napadają wprost na króla Piotra. Ale nawet *Dnevni List*, zaliczany do dzienników bliższych rządowi, oświadcza, że nie może być mowy o przywróceniu następstwa tronu Jerzemu, bo dosyć już skandalów i wstydu, jakiego narobiła krajowi dynastya Karadżordżów, i gdyby postępowano dalej tymi torami, naród serbski musiałby powrócić do metody staroradykałów, którzy odstawili poza Sawę króla Milana i królowę Natalię. A brukowe pisemko *Zvono* wzywa już wprost do wygnania Karadżordżów. Jest to ten sam dziennik, który rozpoczął w swoim czasie kampanię przeciw królewiczowi Jerzemu i koniec końców wygrał ją.

W *Neues Pester Volksblatt* czytało się 16 września, że Budzyń jest ogniskiem spiskowców przeciw Karadżordżom. Podano nawet adres ich komitetu: Gyarmat-utcza 65, mieszkanie pubicysty serbskiego Dra Aleksandra Petrovića, autora wydanej przed kilku laty broszury „Srbija i Karagjorgjevići", a niegdyś za czasów Ristića szefa serbskiego rządowego biura prasowego. Jako towarzysze spisku wskazani są: minister Ribarac, Sveto Jakšić, Stevan Šimončić, Ljuba Stojanović i Bogdanović. Dodano, że serbski konsulat wie dobrze o spisku i nieraz już referował o tem swemu rządowi.

Jakto? A rząd serbski nie wzywał węgierskiego o pomoc i opiekę? Spiski przeciw rządowi robi się niemal jawnie? A gdzież prawo międzynarodowe? W takim razie rząd węgierski byłby patronem spisku!

Faktem jest, że podczas procesu zagrzebskiego funkcyonaryusze rządowi wyrażali się i wciąż wyrażają po setki razy w sposób najobraźliwszy, wprost prowokacyjny, o dynastyi serbskiej.

Z końcem sierpnia pojawił się senzacyjny artykuł w *Dubrovniku*, a mianowicie oświadczył tam dr. Aleksander Mitrović, że jeszcze dnia 27-go maja mówił mu hr. Forgach, poseł austro-węgierski w Belgradzie, dosłownie, co następuje:

„W Wiedniu nabrano już dawno przekonania, że nie popełniono żadnej zdrady głównej w Chorwacyi, ani w Sławonii".

Cóż więc myśleć w takim razie o kontynuowaniu procesu?

Korespondent wiedeński wychodzącej w Nowym Sadzie *Zastave* miał w Wiedniu rozmowę z wydawcą i głównym redaktorem sarajewskiego organu Muzułmanów *Musavat*, Smail-agą Dżemalovićem, który wyraził się o projekcie przyłączenia Bośny do Chorwacyi w następujący sposób:

„My, Muzułmanie, jesteśmy jak największymi przeciwnikami przyłączenia naszego kraju rodzinnego do Chorwacyi i Sławonii i utworzenia jakiegoś tryali-

zmu. To byłoby oczywistą nagonką na Muzułmanów, bo wtenczas propaganda katolicka byłaby jeszcze zuchwalszą i rozleglejszą. Zamierzamy działać wszelkimi środkami legalnymi, żeby otrzymać autonomię Bośny i Hercegowiny. Cała ludność jest za autonomią, a jeżeli nasi władcy temu nie wierzą, niechaj urządzą plebiscyt. Walka będzie ciężka; mam przekonanie, że nasi władcy staną się popowolniejszymi dopiero wtenczas, gdy spostrzegą, że jest w nas siła, a ja upatruję tę siłę w najostrzejszej i jak najwytrwalszej opozycyi przeciw dzisiejszemu reakcyjnemu rządowi".

Przez „reakcyjność" rozumie Smail-aga Džemalović widocznie katolicyzm. W rzeczywistości rzeczy mają się tak, że dotychczas obowiązuje w Bośni przepis zakazujący namawiać do porzucenia muzułmaństwa, a więc zakazujący propagandy chrześcijańskiej. Wypadki nawrócenia są też tak nadzwyczaj rzadkie, że o każdym rozpisuje się zaraz cała prasa bałkańska. Ale chrześcijanie są równouprawnieni politycznie, a że nastała znaczna immigracya intelligencyi katolickiej, i że muzułmanie nie posiadają niemal całkiem intelligencyi z censusem wymaganym do sprawowania urzędów publicznych, rządy kraju przeszły w ręce chrześcijan, a mianowicie tego ich odłamu, który rozporządza liczniejszą intelligencyą, tj. katolików. Przewaga ta staje się siłą samych okoliczności z roku na rok większą.

Muzułmanie bośniaccy uchodzili zawsze nie za Serbów, lecz za Chorwatów (Turków w Bośni całkiem niema), piśmiennictwo ich owiane jest duchem narodowym chorwackim. Od kilku lat zmieniły się stosunki; względy wyznaniowe biorą górę, Muzułmanie łączyli się z opozycyą serbską, a teraz stają w poprzek ideałom narodowym chorwackim.

Jakiejże więc są obecnie narodowości?! Nowy przykład, jak na Bałkanie o politycznem ugrupowaniu ludności rozstrzyga religia, a poczucie narodowe jest jeszcze słabe w zasadzie i występuje silniej wtenczas dopiero, jeżeli łączy się z odrębnością wyznaniową.

W Bułgaryi prasa oficyalna urządza istną nagonkę na Serbię. Chcianoby tam wywołać proces podobny do zagrzebskiego. Przytrzymawszy rewolucyonistę rosyjskiego Jezofiejewa Ostrowskiego, który przybył do Sofii drogą na Serbię, ogłoszono, że przyjechał w tym celu, żeby zabić króla bułgarskiego i że rząd serbski wiedział o tym spisku. Prokurator sofijski Manolov używał nawet tych samych argumentów, jak prokurator zagrzebski Accurti; mówił o stowarzyszeniu pod nazwą: Slovenski Jug, a nawet powoływał się na... Nastića. Wyrok sądowy stwierdził, że nie było ani spisku, ani nawet przygotowań do niego, ale skazano Jezofiejewa za przeniesienie dynamitu na siedm miesięcy więzienia, jakkolwiek znawcy orzekli, że to, co znaleziono u wędrownego Rosyanina, nie było dynamitem, ani wogóle żadną materyą wybuchową, którąby mogła zabić człowieka.

Minister Takew napisał w oficyalnym dzienniku *Preporec*, że policya bułgarska przegrała proces z Jezofiejewem i Serbią skutkiem intryg policyi belgradzkiej!

Opozycyjna prasa bułgarska potępia surowo rząd i policyę sofijską, skompromitowaną przez tajnych ajentów, wyprawianych do Belgradu, żeby tam przygotować wszystko, co było potrzebne do upozorowania spisku. Ajentów tych pociągnięto tam do odpowiedzialności i tak wykrył się plan policyi sofijskiej.

KRONIKA.

W sprawie „konkordyi“ ogłosi z początkiem sierpnia w pismach artykuł p. Teofil Merunowicz ze Lwowa, żądając jej zniesienia. Cieszymy się, że i w tej sprawie poczyna się nasze zdanie przyjmować w opinii publicznej.

Rzeczowy wykład „konkordyi“ znajduje się w zeszycie z sierpnia 1908 w artykule X. Rotha.

Żal prof. Pogodina do Krakowa. Profesor Pogodin, który z gronem studentów rosyjskich odbył podróż po Słowiańszczyźnie i wstąpił także do Krakowa, skreślił w rozmowie ze współpracownikiem *Rieczi* wrażenia z wycieczki. O pobycie w Krakowie wyraził się w sposób następujący:

„Przepaść pomiędzy Polakami a Rosyanami jest obecnie tak wielka, że przez cały czas pobytu w Krakowie czuć było lody, które przełamać staraliśmy się usilnie, ale bezskutecznie“.

Jak przyjmowano w Krakowie wycieczkę studencką, której przewodził prof. Pogodin, opisano dokładnie w zeszycie z lipca 1909 str. 64.

Wycieczka studencka przyjmowaną była serdecznie przez studentów i tak być powinno. Czyż studenci rosyjscy mieli pretensye, żeby na ich przyjęcie wychodził burmistrz?

Wycieczka miała charakter zupełnie prywatny. Studenci ci nie byli bowiem reprezentantami swych kolegów, delegatami stowarzyszeń młodzieży rosyjskiej, wysłańcami ogółu młodzieży; nie reprezentowali nikogo.

Również prof. Pogodin nie był reprezentantem nikogo i niczego.

Była to więc tylko podróż grona turystów.

U nas jest zwyczaj, że reprezentacyjnie przyjmuje się tylko wycieczki reprezentacyjne.

Jeżeli prof. Pogodin przyjedzie jako reprezentant uniwersytetów rosyjskich, z gronem młodzieży, wydelegowanej przez kolegów umyślnie w tym celu, żeby złożyć w Krakowie pewne oświadczenia, natenczas będzie przyjmowany oficyalnie, reprezentacyjnie i bardzo prawdopodobnie przyłączyłoby się wtenczas do powitania i liczniejsze grono z poza uniwersytetu.

Prywatnych gron turystów nie można podejmować oficyalnie, ani nadawać ich wycieczkom tła publicznego — byłoby to bowiem rodzajem wywierania na nich przymusu.

Nie „lody“ więc były, ale nieporozumienie skutkiem innych pojęć o turystyce i zasadach reprezentacyi.

Prof. Pogodinowi zdaje się, że reprezentował Rosyę. Według naszych pojęć Rosyę reprezentuje prezydent ministrów i prezydent Dumy i to tylko wtenczas, jeżeli przyjeżdża w charakterze oficyalnym (i im bowiem wolno podróżować w charakterze prywatnych turystów!) Te tylko są dwie osoby, mogące reprezentować Rosyę w pojedynkę, samą swoją osobą.

Jest drugi sposób reprezentowania kraju, ale już tłumny: trzeba, żeby równocześnie, razem, korporacyjnie i oficyalnie zjechali razem reprezentanci wszystkich ważniejszych instytucyj pewnego kraju. Wycieczka studencka, choćby najtłumniejsza, nie jest reprezentacyą kraju.

Prof. Pogodin reprezentował tylko samego siebie — i jak na prywatnego turystę, był przyjmowany bardzo serdecznie wszędzie, dokąd tylko zaszedł, do kogokolwiek się zwrócił. O ile wiemy, był mało gdzie, zwracał się do niewielu osób (np. nie zwracał się wcale do redakcyi *Swiata Słowiańskiego;* nie był w niej wogóle nigdy). I tu znowu nie „lody“, ale odmienne pojęcia, odmienne obyczaje. My o tem tak sądzimy:

Jeżeli przyjeżdża reprezentant, wychodzi się naprzeciw niego! Stosownie do tego, co i kogo reprezentuje, czy jeden komitet jaki lub stowarzyszenie, czy pewną grupę społeczną, czy cały kraj, cały naród — obowiązani są miejscowi powitać go, nie czekając na żaden krok z jego strony. Jeżeli przyjeżdża prywatny turysta, obowiązek ten mają tylko bliżsi jego osobiści znajomi, inni zaś czekają, czy turysta objawi w sposób ogólnie przyjęty życzenie poznania ich i spotkania się z nimi. Prof. Pogodin przyzna zapewne, że tej drugiej reguły nie trzymano się ściśle, co jest dowodem bardzo serdecznego zachowania się wobec niego.

Zachowanie się nasze osądzać na-

leży według naszych o tem pojęć — a nie dowolnie według własnych osobistych.

Wyobraźmy sobie, że który z naszych profesorów pojechałby z gronem naszej młodzieży do Petersburga. Według pojęć prof. P o g o d i n a należałoby się im przyjęcie i oficyalne i owacyjne, nietylko ze strony reprezentantów społeczeństwa w Petersburgu, ale też ze strony publiczności. Studenci nasi byliby zakłopotani, bo musieliby wziąć na się rolę reprezentantów, czego n i e w o l n o, j e ż e l i s i ę d o t e g o n i e m a w y r a ź n e g o p e ł n o m o c n i c t w a, a w jakimże dopiero kłopocie byłby jadący z nimi profesor!

Niema podobno obawy o to, żeby Petersburg przyjmował naszych synów tak, jak profesor Pogodin pragnął być przyjmowany ze swymi studentami w Krakowie! Ale my skromniejsi i możemy zaręczyć, że gdyby grono naszej młodzieży, podróżującej prywatnie, przyjęto w Petersburgu tak, jak drużynę ową rosyjską w Krakowie, byliby b a r d z o z a d o w o l e n i i wróciwszy do domu, nie zoztaczaliby po gazetach pretensyi i żalów.

Jak przyjmowyno prof. Pogodina w Pradze i w Belgradzie, to dla nas niema nic do rzeczy; niech każdy robi po swojemu.

Zastrzegamy się tylko z całą stanowczością przeciwko „lodom“, przeciwko podejrzywaniu o niegrzeczność.

Moglibyśmy Rosyan przyjąć jak najoficyalniej, najowacyjniej, z demonstracyjną radością, serdecznością, z udziałom mas pełnych największego zapału na ich przyjęcie. Owszem! Niech się zbierze wycieczka r e p r e z e n t a c y j n a Rosyan do Krakowa, w której wzięliby udział:

Posłowie z Dumy i Rady Państwa, „gołowy“ Petersburga i Moskwy, burmistrze miast rosyjskich, marszałkowie szlachty, delegaci „gild“ kupieckich, wysłannicy uniwersytetów i akademii, muzeów, stowarzyszeń kulturalnych, ekonomicznych, politycznych, zawodowych itp. i niech zapowiedzą, że przyjeżdżają umyślnie w tym celu, żeby złożyć na rynku krakowskim oświadczenie, że należy nam się w państwie rosyjskiem język polski w szkole, w sądzie i w urzędzie, a zobaczymy, czy rynek krakowski nie będzie przepełniony rozradowaną publicznością!

Ale tymczasem... zachowujmy proporcye.

Brak proporcyi wiedzie do chaosu.

Katedry słowiańskie na uniwersytetach rumuńskich. Profesor slawistyki w uniwersytecie w Jassach wydał broszurę o stosunku Rumunów do Serbów i Bułgarów. Kładzie głównie nacisk na potrzebę, żeby Rumuni zaznajamiali się z językami serbskim i bułgarskim i proponuje ustanowienie specyalnych katedr dla tych języków w uniwersytetach rumuńskich. Zwraca uwagę na to, że nieuchronny rozwój okoliczności doprowadzić musi do tego, że tak polityka, jakoteż sprawy ekonomiczne Rumunii będą zależały coraz bardziej od stosunków w Serbii i w Bułgaryi.

Czesi a Polacy na Węgrzech. Prasa madiarska pełna jest artykułów z wiadomościami o „inwazyi“ czeskich turystów. *Budapesti Hirlap* uważał za stosowne zwrócić uwagę ministerstwa spraw wewnętrznych na to „niebezpieczeństwo“. *Pesti Hirlap* rozpisał się o tem w te słowa:

„Czescy i morawscy turyści, studenci, ajenci fabryk, komiwojażerowie, nawiedzają nietylko romantyczne góry i lasy, ale też i miasta i wsie słowackich komitatów“. — Turysta więc winien przebywać ciągle w lasach, nie schodzić na nocleg do wsi, a będące na drodze miasta przeskakiwać? —

„Stosunki handlowe — narzeka dalej *Pesti Hirlap* — czeskich instytucyj finansowych ze słowackiemi zacieśniają się coraz bardziej. Domokrążcy z płótnem roznoszą także książki czeskie, kalendarze, obrazki święte i świeckie z czeskim tekstem. Do rodzin inteligentniejszych przynoszą czeskie powieści. Pisma czeskie illustrowane podają obficie illustracye ze Słowaczyzny. Praska „Československá Jednota“ wysyła całe grona studentów czeskich do słowackich braci, udziela zapomóg słowackim terminatorom i uczniom szkolnym w Czechach. Czesi są już na Słowaczyźnie zupełnie u siebie w domu. Ten ruch czeski zwraca już uwagę, tendencya jego i zła wola są widoczne. Gazety słowackie rozpływają się nad braterstwem słowiańskiem, nad Pragą; nie nastarczą rozpisywać się o Złotej Pradze i wzdychać do tego ogniska“.

Prawdą jest, że Czesi dbają wielce o Słowaków i zasłużyli sobie za to na

niełaskę Madiarów. Tylko Polacy są u nich w łaskach, bo jakkolwiek na Górnych Węgrzech żyje około 300.000 polskiej ludności, my się nie troszczymy całkiem o tych rodaków.

Z za kulisów agitacyi protestanckiej w Austryi. Wiadomo, że w Austryi agituje się od kilku lat usilnie pod hasłem: „Los von Rom!" Agitacyą kieruje niemiecki „Evangelischer Bund", który — jak przyznał jeden z filarów jego, Dr. Kornrumpf, pastor we Fürstenwalde pod Berlinem — utrzymuje własnym kosztem około setki pastorów w nowo zorganizowanych gminach protestanckich w Austryi, ofiarując na ten cel rocznie 200.000 M. Ponieważ atoli „Bund" reprezentuje kierunek liberalny w protestantyźmie, nie zażywa dobrej opinii u t. zw. ortodoksów, którzy też podnoszą wielkie wątpliwości co do całej tej „pracy misyjnej", robiąc nawet wymówki, że „Bund" szerzy tylko truciznę liberalizmu, zasypuje Austryę liberalnymi pastorami, którzy zamiast pozyskać kogokolwiek dla ewangelii, odstręczają raczej od niej nawet dawnych protestantów, Ortodoksyjny tygodnik *Licht und Leben* wystąpił tedy z żądaniem, żeby wyprawić do Austryi dwóch „braci" także z pośród wierzących protestantów, przedewszystkiem do Czech i na Morawy, którzyby pouczyli tamtejszych „braci", a także „rzymian" o prawdziwej potędze ewangelii; wszyscy bowiem wyprawiani tam dotychczas misyonarze zaliczali się do lewego skrzydła teologii niemieckiej. Dr. Kornrumpf wystosował na to dwa listy do redakcyi pisma *Licht und Leben*, wzywając ortodoksów, żeby tylko dostarczyli wierzących teologów, a „Bund" wyśle wszystkich, jacy się zgłoszą do pracy w Austryi. I tak bowiem trudno jest o chętnych pracowników i „Bund" — jak wyznaje Dr. Kornrumpf, — musiał przyjmować różnych i takich nawet, o których działalności nie zawsze można się wyrażać z pochwałami. Ale nie dało się robić inaczej, dla braku kandydatów. Bądźcobądź nawet z takimi „misyonarzami" dokonał „Bund" w Austryi istnych cudów, skoro w ciągu dziesięciu lat odwiódł od Rzymu około 50.000 dusz i zorganizował je w gminy wyznaniowe.

Jest więc zamiar działania zjednoczonemi siłami liberalnych i ortodoksyjnych protestantów. Czy jednak sukcesowi i wiary wymagający ortodoksi mieliby powodzenie? Okazuje się bowiem, kto dotychczas „nawracał": liberał protestancki, nie wierzący doprawdy w nic, z jakimś mglistym deizmem, nie będący nietylko ewangelikiem, ale właściwie ani nawet nie chrześcijaninem, porozumiał się łatwo na tle negacyi religijnej z kimś również w nic niewierzącym, a zapisanym tylko oficyalnie w księgach ludności wyznania katolickiego. Odrywanie od Rzymu wiedzie się tedy, ponieważ nie wymaga żadnej wogóle wiary i żadnych praktyk religijnych. Była to dotychczas jakoby propaganda bezwyznaniowa pod pozorem protestantyzmu. Ale z chwilą, gdy „ortodoksi" zechcieliby brać sprawę na seryo, jako propagandę religijną — gotowo im zabraknąć materyału i agitacya pod hasłem: „los von Rom" musiałaby osiąść na mieliźnie. Toteż kierunek liberalny będzie zapewne i nadal nadawał ton propagandzie, której wobec tego nie należy przypisywać żadnego znaczenia wyznaniowego w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Są to — z jednej i z drugiej strony — bezwyznaniowcy, nie chcący jawnie za to uchodzić, poprostu dlatego, że bezwyznaniowość została już zbyt skompromitowana przez pogardzanych przez nich żydów. Szanujący się bezwyznaniowiec woła „los von Rom" i ma swego pastora „liberalnego", choćby takiego, którego wstydzi się sam opłacający go „Bund".

Uroczystość Gaja w Krapinie.

W dniach 15 i 16 sierpnia obchodzono stoletnią rocznicę urodzin Dra Ljudevita Gaja po wszystkich ziemiach chorwackich, obrawszy na główną uroczystość starożytny gród „Lecha, Czecha i Mecha", Krapinę, miejsce urodzenia ojca „illyryzmu", gdzie też położono kamień węgielny pod „Gajev Dom".

Miasto całe ozdobione do ostatniej chaty chorągwiami o barwach narodowych, festonami i łukami; domy ustrojono popiersiami i portretami Gaja i symbolami „illyryzmu"; na wszystkich słupach napisy, hasła, myśli i wyjątki z „ilirskiej" poezyi odrodzenia.

Obchód rozpoczęto dnia 15 sierpnia wielkim wiecem Towarzystwa Oświaty ludowej (pučka prosvjeta), na którym

reprezentowane były wszystkie ziemie chorwackie, nie wyłączając Bośny i Hercegowiny.

Witanie zjeżdżających się gości, zwiedzanie miasta, uroczysty koncert towarzystw śpiewackich i muzycznych, tudzież iluminacya miasta wraz z pochodem, wypełniły resztę pierwszego dnia uroczystości.

Nazajutrz wczesna pobudka ranna, powitanie tysięcznych tłumów, przybyłych z Zagrzebia, dziękczynna msza w „stolnoj crkvi", imponujący pochód delegacyj przez miasto, a wreszcie uroczysta „akademia" przed pomnikiem Ludwika Gaja.

Długi szereg przemówień przedstawicieli wszystkich ziem chorwackich, instytucyj, organizacyj i stowarzyszeń ogólno-narodowych, otworzył przewodniczący miejscowego komitetu, kanonik Vukovinski. W dalszym ciągu następują przemówienia gości, pomiędzy nimi rosyjskiego neoslawisty J. N. Wołodimirowa i Bułgara prof. S. Bobčewa.

W imieniu krak. „Klubu Słow." i naszej redakcyi przemówił w języku polskim i chorwackim prof. Tad. Stan. Grabowski, porównując działalność „Illirów" ze stuletnią walką o narodowe prawa Polaków. Wspomniał o roku 1848—9, kiedy Polacy stali po stronie Węgier i uzasadnił ich postąpienie — W obecnej walce Chorwatów z madiaryzmem życzy im mowca powodzenia i zwycięstwa, w imię marzeń Gaja i w imię dobra wszystkich Słowian w Austryi, ciemiężonych przez Madiarów.

Dr. Fran. Ilešić z Lublany wzywał do jedności słowieńsko-chorwackiej, powołując się na wzajemną pracę około odrodzenia w dobie pierwszych „ilirów".

Koroną wszystkich przemówień, jaśniejącą blaskiem lotnych myśli i płomieniem zapału młodzieńczego, były słowa głośnego powieściopisarza Ljuby Babića-Gjalskiego, przemawiającego w imieniu „Društva hrvatskih književnika".

Czesi, zajęci wycieczką do Krakowa, Częstochowy i Warszawy, nie nadesłali przedstawiciela, ale nadszedł od nich długi szereg telegramów.

Ale na telegramach też tylko poprzestali Serbowie, co wywołało zdziwienie i niezadowolenie słuszne.

Zakończył „akademię" pełnem południowego ognia słowem dr. S. Ortner, główny aranżer krapińskiej uroczystości, poczem u stóp pomnika złożono wśród śpiewów i dźwięków muzyki stos srebrnych i złotych wieńców, z różnych stron Chorwacyi i Słowiańszczyzny nadesłanych.

Na popołudniowym bankiecie w salach hotelu „Korona", gdy wniesiono toast na rozwój i zwycięstwo narodowej idei polskiej, odpowiedział T. S. Grabowski przemówieniem chorwackiem i słowieńskiem, życząc Chorwatom i Słowieńcom zjednoczenia i zwycięstwa w walce o najświętsze prawa narodowe. Zabawa ludowa zakończyła uroczystość.

Trzeciego dnia odbywały się poufne narady przedstawicieli oświatowych Kół ludowych, Macierzy szkolnej itp.

Grono literatów zaś, artystów i gości, odbyło wycieczkę do pobliskiego Samoboru, ażeby złożyć tam hołd ostatniemu żyjącemu „Ilirowi" Iwanowi Trnskiemu, który w dziele odrodzenia stał obok Gaja. Ten starzec obchodził niedawno 90-tą rocznicę swego płodnego żywota, a 70-tą niezmordowanej działalności, a przecie duch w nim nie zamarł i „pjesmą — radosnicą" powitał dzień Ludwika Gaja.

Łzy cisnęły się do oczu na widok tego starca sędziwego, co nie spodziewając się tak niezwykłych odwiedzin, w cieniu zgrzybiałego świerku siedział zadumany i rozpamiętywał zapewne jasne chwile swej młodości, kiedy wraz z Gajem marzył o wolności, sławie narodu...

Gdy ujrzał gości i dowiedział się, z czem przychodzą, zebrał stare siły, podniósł w górę białe czoło, dźwignął się z siedzenia i w słowach drżących, dłonią drżącą, przeźroczystą, błogosławił i dziękował — jakby już duch z tamtej strony świata.

Słuchaliśmy prostych słów podzięki, łzy cisnęły się do oczu, a po ciele zimny dreszcz wzruszenia przechodził. Czcigodny duch przeszłości, — duch „ilirów" zeszedł między nas..

Było w tem coś tak uroczystego, taka cisza i podniosłość, jak gdyśmy, dziećmi będąc, zbliżali się do towarzyszów — żołnierzy Kościuszki... Doprawdy, duch pokrewny wolności owionął nas swem skrzydłem... (J)

(O Ljudewicie Gaju zobacz artykuł wstępny w poprzednim numerze).

Rządy rosyjskie.

Niektóre pisma rosyjskie wyrzekały na Polaków, że w zbliżeniu polsko-czeskiem panował ton zbyt krytyczny względem rządu rosyjskiego. Nie było żadnej mowy politycznej ze strony polskiej, ani też nie roztaczał nikt żalów na żadnem ze zebrań; ale władze same postarały się o to, żeby Czesi dowiedzieli się, jakie w Kongresówce są rządy! Nie trzeba było z naszej strony żadnych wyjaśnień!

Już przed oficyalną wycieczką pojawiły się w *Narodnich Listach* (cytujemy umyślnie ten dziennik) korespondencye jednej z najwybitniejszych osób praskiego świata handlowego, pełne podziwu nad nieporządkami w Częstochowie (ani bruku, ani kanalizacyi, ani porządnego światła) i wyjaśniające dokładnie, dlaczego pod rządem rosyjskim nie może być inaczej, ze względu na dobro czynownictwa.

A podczas wystawy! Czyż dla wprawienia Czechów w odpowiedni nastrój nie wystarczył zakaz zjazdów naukowych i ekonomicznych i wszelkich odczytów popularnych! Wszak zakazano nawet zjazdu... esperantystów polskich. Każdy Czech widział, że dokucza się społeczeństwu, byle tylko dokuczać i drażnić! Każdy Czech przekonał się sam naocznie, że rząd rosyjski nietylko nie chce zgody z Polakami, ale stara się usilnie o utrzymanie nieprzyjaźni.

Jakich-że bowiem zakazywano odczytów? Oto jeden przykład:

Podczas trzydniówki kółek rolniczych w Częstochowie, miały się odbyć odczyty popularne, na które jednak nie uzyskano pozwolenia. Program tych niedoszłych do skutku odczytów był następujący: Dnia pierwszego: 1) sprawozdanie z działalności kółek rolniczych w Galicyi — p. E. Maurizio, 2) sprawozdanie z działalności kółek rolniczych w Poznańskiem — p. redaktor K. Brownsford, 3) znaczenie kobiety w rodzinie, gospodarstwie i społeczeństwie — p. M. Karczewska i gospodyni Kosiorkowa z Łowickiego.

Drugiego dnia: 1) O potrzebie oświaty dla rolnika — p. A. Piątkowski. 2) O szkołach zawodowych żeńskich — p. I. Kosmowska. 3) Jak wieś polska wyglądać powinna — p. E. Jankowski. 4) O rozrywkach i wypoczynku na wsi — ks. W. Bliziński.

Trzeciego dnia: 1) Stan drobnego rolnictwa w Czechach i na Morawach — p. H. Kamieński. 2) O stowarzyszeniach kredytowych — p. S. Wojciechowski. 3) Warunki ekonomiczne rolnictwa drobnego w Królestwie Polskiem — p. W. Grabski.

Oficyalnego otwarcia wystawy dokonał generał-major Kaznakow, dowódca łódzkiego okręgu wojennego. Korespondent *Narodnich Listów* wydrwiwał, że dostojnik wojskowy ma główny głos w sprawach gospodarskich. Kaznakow odezwał się tylko dwa razy, poprzestając za każdym razem na wygłoszeniu jednego zdania, ale robiąc to w sposób szorstki („usečny"). Raz powiedział: „Oświadczam, że wystawa jest otwarta" — a drugim razem, zagajając szereg toastów oficyalnych, przemówił pięć słów: „Gospoda! Jewo Impieratorskomu Wieliczestwu urra!" Wyrazy te raczył wymówić w sposób bardzo cięto-szorstki („velmi usečny").

Korespondent pisze:

„Obecność delegacyi czeskiej na samem otwarciu wystawy była powitana przez polską publiczność ze szczerą radością i osłodziła wszystkim gorzką pigułkę, jaką było delegowanie do oficyalnego otwarcia wystawy w sam raz generała Kaznakowa.

„Z powodu bezwzględności przy procesach politycznych i dla pośpiechu w zatwierdzaniu wyroków śmierci w sądach polowych, nie nadawał się gen. Kaznakow wcale do tego, żeby jego misya urzędowa miała tu wzbudzać sympatye u Polaków, a to tem mniej po niezliczonych, większych i mniejszych szykanach, na które narażani byli i komitet wystawy i sami wystawcy, nie wyjmując wcale czeskich".

Chwalił natomiast korespondent *Narodnich Listów* naczelnika powiatu częstochowskiego, kniazia Awałowa, za „sprawiedliwe i wzorowe sprawowanie swego urzędu".

Nauczyciele żydzi w Łodzi otrzymali od dyrekcyi naukowej zezwolenie na prowadzenie wykładów języka rosyjskiego, historyi i geografii, na tej zasadzie, iż okólnik ministra oświaty o niedopuszczaniu osób wyznania nieprawosławnego do wykładu wspomnianych przedmiotów dotyczy wyłącznie nauczycieli Polaków katolików.

Przed kilku miesiącami *w Warszaw-*

skim Dniewniku ogłoszono rozporządzenie generał-gubernatora o pociąganiu do odpowiedzialności osób, zbierających składki na dar grunwaldzki, oraz pism, ogłaszających je, a to ze względu na to, iż pozwolenia na zbieranie tych składek nie wyjednano.

Wskutek tego adwokat Ant. Osuchowski, inżynier Drzewiecki i adwokat Papieski wystosowali podanie piśmienne do generał-gubernatora o pozwolenie na zbieranie składek na dar grunwaldzki i na ogłaszanie ich w pismach. Podanie to zostało przesłane przez generał-gubernatora do uznania ministra spraw wewnętrznych. Wczoraj nadeszła z kancelaryi generał-gubernatora odpowiedź na ręce adwokata Papieskiego z zawiadomieniem, że minister spraw wewnętrznych nie udzielił pozwolenia na ogłaszanie składek na dar grunwaldzki w pismach warszawskich.

Pięć gmin w Kongresówce prosiło o skasowanie sklepów „monopolowych“ tj. żeby nie sprzedawano u nich całkiem wódki. Ten ruch antyalkoholiczny wśród ludu polskiego spotkał się z niechęcią władz. — Gminom dano odpowiedź odmowną, motywując tem, że..... uchwałę zgromadzenia włościańskiego spowodowała nietyle chęć szerzenia wstrzemięźliwości, — ile dążenie do pozbycia się obowiązku pilnowania sklepów, który-to obowiązek nałożony został na mieszkańców wiosek przez gubernatora.

Ksiądz Majewski z Mińska urządził ze swymi parafianami wycieczkę osobnym pociągiem do Wilna, ażeby tam odbyć procesyę do Ostrej Bramy i na Kalwaryę. Otrzymał na to urzędowe pozwolenie od samego gubernatora wileńskiego osobiście.

Po wycieczce został skazany przez tego samego gubernatora na grzywnę 300 rubli za to, że „bez należytego pozwolenia urządził procesyę z Mińska (sic!) do Wilna“. Apelacye nie pomogły, a gdy ksiądz wzbraniał się płacić, urządzono dnia 31 sierpnia licytacyę jego ruchomości. (Licytowali parafianie, zostawiając oczywiście przedmioty „kupione“ na swojem miejscu. Zapłacono za zegar stołowy 75 rubli, za zegar ścienny 223 ruble).

Minister komunikacyi zabronił przedsiębiorcom budowy kolei Tiumeń Omsk oddawać entrepryzy i dostawy Polakom. Inżynierowie Polacy nie są do prac przy budowie tej kolei przyjmowani.

Z Cieszyńskiego.

Klęska polska przy wyborach sejmowych w Cieszyńskiem spowodowała redakcyę *Narodnich Listów* do szeregu uwag. W n-rze 262 z 22-go września podnoszą pewne szczegóły z przebiegu wyborów. W czeskim okręgu, frydeckim, zaszła potrzeba wyboru ściślejszego, ponieważ obok oficyalnego kandydata czeskiej Rady Narodowej, burmistrza Polskiej Ostrawy, Poppego (zaciekłego polonofoba), wystąpiło jeszcze dwóch kandydatów czeskich, dyrektor Zika i wójt Adamek i jeszcze czwarty kandydat, wójt z Werbów Quassnitza, renegat, zniemczony Czech, który „poprawił“ sobie w ten sposób swe nazwisko: Kvasnica. Przy ściślejszych wyborach otrzymał Poppe 160 głosów, a Quassnitza 78. — Otóż *Narodni Listy* twierdzą, że polscy wyborcy tego okręgu głosowali na Quassnitzę.

W okręgu cieszyńskim przeprowadzono — jak wiadomo — obydwóch kandydatów polskich, z których Franciszek Halfar z Poręby otrzymał 264 głosów, ale adwokat cieszyński dr. Jan Michejda tylko 181. Okoliczność tę wyjaśniają *Narodni Listy* w ten sposób:

„Dr. Michejda ma mniej głosów, jako ewangielik, bo była przeciw niemu opozycya pod wodzą pana Friedla z Frysztaku, którego kandydat, Józef Cichy, otrzymał 117 głosów.

O wyborze polskiego renegata, dyrektora szkoły w Skoczowie i redaktora renegackiego *Ślązaka*, Józefa Koždonia, przeciw zasłużonemu ks. Londzinowi, piszą *Narodni Listy* w tymże numerze z ubolewaniem, bo jestto także „stratą dla połączonej opozycyi czesko-polskiej na sejmie“ i dodają:

„Ale wynik wyborów w okręgu bielskim jest bolesnem zadośćuczynieniem dla nas Czechów, którzy dawno już zwracamy Polakom w Galicyi uwagę na to, jak słabemi są kręgi ich rodaków w Cieszyńskiem do walki z Niemcami. Polacy z Galicyi głosili konsekwentnie, że to obmowa, gdy ze strony czeskiej wskazywano, jak powolny jest lud polski w Cieszyńskiem wobec niemieckiej komendy. Głosy, otrzyma-

ne przez Quassnitzę od polskich wyborców w Ostrawskiem i wybór Koždonia w Bielskiem są tego wybitnym dowodem.“

Wracając do tego samego tematu w n-rze 263 z 23 września, piszą *Narodni Listy*:

„Jak liche informacye mają pisma galicyjskie o wzroście wpływu agitatorów niemieckich w Cieszyńskiem, dowodem tego fakt, że klęska księdza Londzina i wybór renegata Koždonia w Bielskiem był dla nich wielką niespodzianką. Pisma polskie wierzyły dotychczas na słowo p. Friedlowi z Frysztaka i jego towarzyszom z Ostrawy, że w Cieszyńskiem niebezpieczniejszym dla Polaków jest Czech, niż Niemiec. Wszystkie polskie szkoły Macierzy skoncentrowane są na pograniczu czesko-polskiem, żeby chronić dzieci polskie od czechizacyi. Cała agitacya polska zogniskowana w Ostrawskiem, podczas gdy dalej na wschód od Cieszyna pozostawiono germanizatorom zupełnie wolne pole. Nadspodziewanie szybko doczekali się tam świetnego zwycięstwa naganiacze niemieckich hakatystów z pomocą polskich renegatów... Lud polski jest zorganizowany, ale tylko tam, gdzie chodzi o walkę ze znienawidzonymi Czechami. Polakom w okręgu bielskim nie grozi czechizacya, a bronić się przeciw germanizacyi — tego nie uważają polscy przywódcy w Cieszynie za potrzebne“.

Obydwa gimnazya realne w Orłowej, polskie i czeskie, doszły do skutku dzięki zabiegom prezesa Koła polskiego.

Czeska kronika.

Fundusz milionowy na czeską Macierz Szkolną postanowiono zebrać. Odezwę w tej sprawie wydała Rada miasta Pragi dnia 6 września.

Nowe gałęzie przemysłu czeskiego. Stowarzyszenie ekonomiczne „Národohospodařská Jednota“ w Pradze“ (Jungmannová třída 37) zajęta jest właśnie przygotowaniami do założenia dwóch fabryk: jednej na tafle szklanne, a drugiej na maszyny do szycia. Te gałęzie przemysłu stanowiły dotychczas wyłączność niemiecką.

Lokaut robotników za czeską szkołę. Fabryka Niemca Rumpalli w Mistku na Morawach dała wypowiedź robotnikowi Kupčakowi o to, że dzieci swe zapisał do szkoły czeskiej. Robotnicy czescy oświadczyli, że solidaryzują się ze swym rodakiem i wstrzymują się od pracy, dopóki firma nie cofnie danej wypowiedzi. Rumpall przywołał pośrednictwa komisarza przemysłowego, ale robotnicy czescy nie chcieli odstąpić od swego warunku. Natenczas firma zwróciła za pośrednictwem starostwa książki robotnicze około 50 robotnikom, przystępując w ten sposób do lokautu.

W czeskim Domu Narodowym w Mistku odbyło się publiczne zgromadzenie, na którem uchwalono rezolucyę, polecającą wyłączonych robotników opiece społeczeństwa czeskiego. W zgromadzeniu wziął udział przedstawiciel czeskiej Rady Narodowej na Morawach. Robotnikom wynajdzie się zajęcie gdzieindziej, a firma Rumpall straci całkiem czeską klientelę; co więcej, Rada Narodowa podjęła projekt założenia w Mistku fabryki konkurencyjnej (pilnikarni) czeskiej na akcye.

Czechów wolno w wojsku wyzywać? Berneńskie *Lidove Noviny* zamieściły w Nrze z 16-go września następującą wiadomość:

„Najwyższy sąd wojskowy wydał w ostatnich dniach wyrok, że wyrażenia: tschechisches Luder i tschechische Bagage nie stanowią żadnego przestępstwa wojskowego. Dotychczas stanowiła wszelka obraza istotę wojskowego przestępstwa. Wyrok jest w tym wypadku tem dziwniejszy, że obraźliwe owe wyrażenia stanowią obrazę nietylko osobistą, ale też narodową, a mają cechę obrazy ciężkiej. Sprawa ta będzie traktowaną na kompetentnem miejscu“.

Oczywiście, że posłowie czescy zajmą się tem i nie ulega też wątpliwości, że niebawem wyjdzie z ministerstwa wojny rozporządzenie, zakazujące surowo niemieckim synom Marsa darzenia takiemi epitetami żołnierzy czeskich.

Nie w Niemczech żyjemy, lecz w Austryi! Byłoby to zanikiem wszelkiej etyki (na kształt Prus), gdyby wolno było wymyślać żołnierza, oddającego krew własną na obronę państwa. Nie jesteśmy niewolnikami Austryi, lecz jej obywatelami i to lepszymi od Niemców, bo nie tęsknimy do żadnego obcego monarchy.

Walka z germanizacyą na kolei północnej. Po upaństwowieniu kolei

krakowsko-wiedeńskiej, t. zw. Północnej Im. ces. Ferdynanda, począł obowiązywać tę linię statut organizacyjny c. k. kolei państwowych, którego § 20 ustanawia równouprawnienie językowe na kolejach żelaznych. Ministerstwo kolejowe wydało też dnia 27 kwietnia 1908 rozporządzenie zaprowadzające ten statut organizacyjny także na liniach kolei Północnej. Ale to teorya, w praktyce zaś nie zaprzestały działalności germanizacyjnej ani dyrekcya kolei — obecnie już c. k. — Północnej, ani też podległe jej dwa inspektoraty, wiedeński i ostrawski.

Linie tej kolei znajdują się w 20% na terytoryum niemieckiem, w 20% na polskiem, a w 60% na czeskiem. Ale wśród 2760 rzeczywistych urzędników tej kolei jest 2300 Niemców, 300 Czechów i 160 Polaków. Na 1110 urzędników, zajętych przy samej dyrekcyi kolejowej w Wiedniu, jest cały tysiąc Niemców, Polaków 60, a Czechów 50.

Niedawno wypadło powiększyć personal techniczny. Miano więc rozesłać do wszystkich technik w monarchii odezwę, nakłaniającą młodzież do ubiegania się o posady przy kolei Północnej; ażeby jednak ominąć techniki czeskie, wykreślono Pragę i Berno z listy, według której miano odezwę adresować i ekspedyować — osobno zaś zwrócono się do techniki niemieckiej w Bernie z prośbą, żeby rektorat sam od siebie wezwał słuchaczów do wnoszenia podań o posady kolejowe. Takiem krętactwem chciano się uwolnić od zarzutu nierównego traktowania dwóch technik berneńskich, bo dyrekcya kolejowa nie wydała sama od siebie odezwy do żadnej z nich; postarano się jednak, żeby tylko niemiecka młodzież techniczna była na czas zawiadomiona o wakujących posadach.

Dnia 12 września odbyła się w Kojetynie na Morawach manifestacya tak olbrzymia, że podobnej nie pamiętają Morawy. W przystrojonem uroczyście mieście zebrało się przeszło 6000 ludzi na meeting w sprawach bezprawi popełnianych na czeszczyźnie przez zarząd kolei żelaznych na Morawach. Powzięto rezolucyę, która ma być przedstawiona cesarzowi, ministrom, klubom poselskim, namiestnictwu i dyrekcyi kolei północnej (krakowsko-wiedeńskiej). Tekst rezolucyi brzmi:

1) Upraszamy usilnie c. k. rząd, żeby nas wziął w obronę przeciw swym podwładnym organom, urzędnikom niemieckim c. k. państwowej kolei północnej.

2) W myśl obowiązujących ustaw domagamy się, żeby czeszczyźnie przyznane było równouprawnienie z niemczyzną, a mianowicie, żeby urzędowanie, korespondencya, blankiety urzędowe, bilety jazdy, napisy na stacyach i we wagonach były na ziemiach czeskich najpierw czeskie, a potem dopiero niemieckie (t. j. u góry — na dole).

3) Stosunek liczbowy czeskich a niemieckich urzędników na Morawach winien odpowiadać stosunkom zaludnienia według narodowości na Morawach. Nie należy przenosić urzędników czeskich dla ich narodowości. Należy znieść język niemiecki, jako urzędowy, tak, żeby każdy urzędnik i funkcyonaryusz miał prawo porozumiewać się ze swym przełożonym w swym ojczystym języku.

4) Domagamy się, żeby dostęp czeskich urzędników i sług kolejowych na posady kolei państwowej nie był utrudniany osławionym niemieckim egzaminem intelligencyi, lecz, żeby ten egzamin a także inne egzaminy fachowe odbywały się w języku czeskim.

Dyrekcya c. k. państwowej kolei północnej nie ma być czysto niemiecka, lecz czesko-niemiecka. A jeżeli to niewykonalne, należy przenieść dyrekcyę z Wiednia na Morawy. We wszystkich gałęziach administracyi kolejowej żądamy bezwzględnej sprawiedliwości i równouprawnienia Czechów z Niemcami.

5) Dopóki te postulaty nie będą spełnione, wzywamy posłów czeskich wszystkich stronnictw, żeby nie uchwalili w Radzie Państwa budżetu ministerstwa kolejowego.

6) Wzywamy czeskich posłów na sejm morawski, żeby w jesiennej sesyi sejmowej wnieśli projekt ustawy krajowej o równouprawnieniu języków na kolejach państwowych na Morawach.

7) Wzywamy wszystkie gminy i wszystkie czeskie powiaty na Morawach, żeby się przyłączyły do naszego protestu, domagając się energicznie naprawy stosunków.

8) Protestujemy przeciw gwałtom, jakie popełnia się na ludzie czeskim w Austryi Dolnej a głównie w Wiedniu przez roznamiętniony tłum niemiecki pod wodzą niemieckich posłów, przeciw prawom czeskiego ludu, zagrażając go na życiu i mieniu; protestujemy

też przeciw wrogiemu stanowisku rządu wiedeńskiego, który nie dostarcza ochrony ludowi czeskiemu, lecz przeciwnie zamyka mu jeszcze bez przyczyny czeskie szkoły prywatne, a publicznych szkół dla czeskich dzieci urządzić nie chce.

Słowacka kronika.

Anglik o Słowakach. W miesięczniku *Edinburgh Review* wyszła rozprawa p. t. „The problem of Hungary“, wywodząca, że kultura słowacka nie stoi wcale niżej od madiarskiej i gdyby Słowacy mieli sposobność kształcić się w języku ojczystym, okazaliby się niemniej zdatnymi do życia publicznego od tego narodu, który patrzy na nich z góry. Ale polityka madiarska i ustawy ich nie dopuszczają ludu słowackiego do należytego kształcenia się. Autor pisze, że trudno jest w jednej rozprawie „podać wyczerpujący obraz tego systemu, z pomocą którego naród panujący stara się stłumić wszelki ruch samodzielny wśród Słowaków. Madiarzy wyzyskali każdą sposobność, każdy środek administracyjny, cały wpływ Kościoła, wszelkie urządzenia wychowania publicznego, żeby narzucić Słowakom madiarski język i sposób myślenia. Propaganda ta podobna jest do prześladowania religijnego. Stąd pochodzi, że na Węgrzech madiaryzacya wywołuje wszędzie nową agitacyę: antymadiarską“.

Autor uwzględnił następujące publikacye do tej sprawy:

Knatchbull-Hugessen: The political evolution of the Hungarian nation.

Andrassy: The development of hungarian constitutional liberty;

Gomard: La Hongrie an XX siècle;

Drage: Austria-Hungary;

Scotus Viator: Racial problems in Hungary.

Autor uwzględnia więc głosy z obydwóch obozów; pierwszeństwo daje ostatniej z wymienionych książek, jako najbardziej rzeczowej, a polegającej na autopsyi pisarza.

Uroczystości ś-to marcińskie. Słowacy zwykli odbywać co roku z początkiem sierpnia zjazdy w swej stolicy w mieście Turczańskim ś-tym Marcinie. Tegoroczne uroczystości odbyły się przy licznym udziale inteligencyi. Walne zgromadzenie Towarzystwa Muzeum Słowackiego zagaił prezes ksiądz Mišik, ubolewając, że stowarzyszenie liczy tylko 656 członków. Nie można się jednak uskarżać na ofiarność, skoro Muzeum otrzymało w ostatnim roku 2525 darów, pochodzących od 192 osób. Uporządkowaniem zbiorów zajęła się kustoszka E. Goldpergerowa; utworzyła też osobny dział robót kobiecych, zwany „Živenine sbierky“. Po odczytaniu sprawozdania i załatwieniu wyborów wydziałowych, odczytano nadesłaną przez prof. Kvačałę rozprawę o stosunkach Daniela Jabłońskiego z Franciszkiem Rakoczym II.

Uczestnicy zjazdu byli obecni na odkryciu nagrobka zacnego patryoty i byłego prezesa Towarzystwa Muzealnego, księdza A. Kmeta, któremu wyryto na grobowym kamieniu następujący napis:

„Vrucně (gorąco) miloval božiu prirodu, nad prirodu starinu (przeszłość) a pritomnost (teraźniejszość) slovenskeho naroda — a nadovšetko Boha“.

Zjazd niewiast słowac. zajmował się głównie sprawą założenia szkoły gospodyń wiejskich, „Dievčenskej gazdinskej školy“. Od wielu już lat kołace się naprózno u władz o pozwolenie na otwarcie tej szkoły, uważanej widocznie za niebezpieczną dla całości państwa węgierskiego.

Zjazd uczącej się młodzieży postanowił wydawać czasopismo studenckie słowackie.

Prześladowanie księdza Tomanka. W dziennikach madiarskich pojawiła się wiadomość, że „żandarmi przyłapali panslawistycznego księdza na ucieczce“. Księdzem tym sławny już ks. Floryan Tomanek, ofiara biskupa spiskiego Parvyego, prześladowany za patryotyzm słowacki, a z panslawizmem nietylko nic wspólnego nie mający, ale wręcz mu przeciwny i uznający najzupełniej państwowość węgierską, byle rząd węgierski zechciał uznać nawzajem prawa narodowe Słowaków.

Kapłan ten zasłużył na gniew biskupa, bo popierał prasę słowacką, uświadamiał lud pod względem narodowym i głosował na posłów słowackich. Suspendowany od trzech kwartałów, przepędzany z klasztoru do klasztoru, miał nadto do czynienia z sądami świeckiemi. Sąd w Namiestowie skazał go na cztery tygodnie więzienia za rzekomą obrazę urzędnika pań-

stwowego. Podczas gdy ks. Tomanek przeprowadzał apelacyę (bezskuteczną), przenosił go biskup z Hrusztyna do Rużbachów, potem do Beszeniowa i do Podgrodzia, skąd kazał mu wyjeżdżać, nie oznaczywszy już nowego miejsca pobytu, wyganiając go poprostu w świat.

Udał się więc ksiądz do Liptowa. Stamtąd wydaliła go policya, zakazując wracać w ciągu pięciu lat. Żaden klasztor dyecezyi spiskiej nie chciał przyjąć dobrowolnie biednego wygnańca we własnym kraju, a biskup rozkazu nie wydawał. W końcu internował go biskup w seminaryum dyecezalnem, opróżnionem na wakacye

Z początkiem sierpnia zachorował ojciec księdza. Prosił więc o „urlop" na 2 tygodnie, wyjechał w połowie sierpnia i po dwóch tygodniach powrócił. Ale na stacyi w Podgrodziu został przez żandarmów aresztowany, jako podejrzany o... ucieczkę przed karą wymierzoną „sądownie". Napróżno prosił biskupa, żeby się za nim ujął. Wszak aresztowano go, jako uciekającego, gdy w r a c a ł, na o s t a t n i e j stacyi w k i e r u n k u p o w r o t n y m! Ale biskup nie wdał się w to całkiem i pozwolił, że księdza prowadzono „szupasem" pod bagnetami przez trzy komitaty, spiski, liptowski i orawski do więzienia w Namiestowie.

Odsiedziawszy trzy tygodnie w więzieniu, doznał ks. Tomanek serdecznego powitania ze strony licznych swych przyjaciół. Policya graniczna (instytucya znana tylko Rosyi i Węgrom) upatrywała w tem demonstracyę i odwiozła księdza do Trstenej, skąd sam pojechał do swego miejsca rodzinnego, do Burskiego św. Petra. Tam otrzymał rozkaz od biskupa spiskiego P a r v y'e g o, żeby się udał do klasztoru w Okolicznem, w komitacie liptowskim, gdzie ma czekać na dalsze rozkazy.

„Spolok sv. Vojtecha", słowackie towarzystwo wydawnicze pod wezwaniem św. Wojciecha, wydające po nader niskich cenach co roku 3-4 książki treści moralnej, budującej i pouczającej, nie zajmujące się całkiem polityką — kłuło w oczy „madiaronów" tylko dlatego, że szerzy kulturę słowacką. Radziby je opanowali, żeby „Spolok" oddać na usługi „madiaroństa" i wprowadzić w wydawnictwa politykę t. zw. „węgierskiej idei państwowej" tj. żeby za pomocą wydawnictw w języku słowackim zwalczać patryotyzm słowacki. Próby te nie udały się, a więc powstał teraz projekt — rozwiązania stowarzyszenia.

Odpowiedziały na to z zimną krwią *Ludove Noviny*:

„Tylko śmiało! ale wiedzcie, że w ciągu jednego miesiąca tysiące katolickiego ludu słowackiego wpiszą się na członków do towarzystw św. Jana Nepomucena w Pradze i Cyrylo-metodejskiego w Bernie".

Słowieńska kronika.

Macierz szkolna Słowieńców zwana „D r u ž b a s v. C y r i l l a i n M e t h o d a", odbyła walne zgromadzenie dnia 10 sierpnia w Jesenicach. Udział był tak znaczny, że przygotowana na ten cel sala okazała się zbyt szczupłą i zebranie musiało odbyć się w ogrodzie. Sekretarz Dr Z e r j a v wyraził ubolewanie, że stronnictwo katolicko-ludowe założyło osobne stowarzyszenie „S l o v i n s k e š k o l s k é d r u ž s t v o", które ukonstytuowało się już w Karyntyi, a w ciągu zimy ma się rozszerzyć po wszystkich ziemiach słowieńskich. Skutkiem tego pozostaną w starej „D r u ž b i e" zdaje się sami tylko liberali i będą działały obok siebie dwa stowarzyszenia, reprezentujące dwa główne stronnictwa słowieńskie: katolickie i liberalne.

„Družba" miała ubiegłego roku 45 kół, z czego 12 w Styryi, 9 w Gorycy 4 w Karyntyi, a 20 w Krainie. Członków liczyła około 10 tysięcy. Utrzymywała „Družba" 6 szkół ludowych o 25 klasach z 1283 uczniami i 18 freblówek (ochronek) z 1112 pupilami. Nauczycieli opłacano 46. Dochody wynosiły 136.268 K, Jestto najwyższa dotychczas cyfra. W r. 1907 było tylko 85.000 dochodu. Wydatki wyniosły w ostatnim roku administracyjnym 93.483 K, tak, że pozostała w kasie nadwyżka na rok bieżący 42.784 K.

Najbardziej zależy „Družbie" na Tryeście, gdzie utrzymuje prywatną słowieńską szkołę ludową. Liczy ona 18 klas równoległych, bo uczęszcza do niej 916 dzieci. Gmina tryesteńska wzbrania się przejąć tę szkołę na koszt publiczny. Osiągnięto dopiero tyle, że rząd założył w Tryeście drugą słowieńską szkołę ludową na koszt państwa, (wbrew ustawom austryackim, pozostawiającym szkolnictwo ludowe całkiem

autonomii krajowej i gminnej) i przejął na etat tej szkoły pięć nauczycielek ze szkoły „Družby“, pozwalając im nauczać nadal w tejże, nie nakładając na nie żadnych obowiązków przy szkole rządowej.

Teatr niemiecki w Lublanie wystawi założone w tym celu przed kilku laty stowarzyszenie. Wiedeński architekt, Aleksander Graf, sporządził już plany.

W Lublanie jest razem z załogą wojskową około 6000 Niemców; za mało, żeby utrzymać osobny teatr. Liczą widocznie na frekwencyę publiczności.... słowieńskiej.

Granica sporna między Krainą a Chorwacyą. Okolic wątpliwych jest kilka. Największe z takich miejscowości są Žumberak w okręgu sądowym metliskim i Mirandol w črnomalskim. Przez długie lata nie dbał nikt o załatwienie tych wątpliwości, ale teraz zajęto się tem i odbędzie się cały szereg komisyj granicznych. Pierwsza z nich zjedzie się między Prezidem i Dragą pod Nowym Kotem. Wyznaczono już delegatów rządu cislitawskiego i kraińskiego Wydziału krajowego.

Punktów spornych jest jeszcze więcej, a mianowicie: między gminą Drašičą pod Metliką, a Vivodiną; między Wielką Doliną w pow. krškim a Landučem; między Babnim Poljem pod Ložem a Čabrem; i część terytoryum wsi Kolpi pod Kotem w pow. črnomaljskim.

Jestto zarazem spór graniczny pomiędzy Cislitawią a Translitawią i może to nie być bez znaczenia, że postanowiono teraz właśnie rozstrzygnąć sprawę, która była dotychczas wszystkim obojętna.

Chorwacka kronika.

Ś. p. Dr. Fran Vrbanić. Zagrzebska Akademia Umiejętności rozesłała „klepsydry“, donoszące o zgonie jej członka i pierwszego sekretarza, Dra Franciszka Vrbanića. Był to uczony i polityk zarazem. Urodzony w roku 1847, w Gospiću, przeniósł się atoli do Zagrzebia z rodzicami, mając zaledwie lat cztery i tam uczęszczał do szkoły ludowej i średniej, tak, że był jakby rodowitym Zagrzebianinem. Po ukończeniu gimnazyum, uczęszczał do t. zw. akademii prawosławnej, poczem udał się na uniwersytet wiedeński, gdzie otrzymał stopień doktora praw. Poświęciwszy się nauce, rozpoczął wcześnie karyerę akademicką. Mając zaledwie lat 27, został w r. 1874 nadzwyczajnym profesorem statystyki i prawa handlowego i wekslowego w uniwersytecie zagrzebskim, a już w dwa lata potem profesorem zwyczajnym. Zajmował się żywo sprawami publicznemi. Licząc w sam raz lat 30 (minimalny wiek przepisany), został posłem na sejm chorwacki, a piastował mandat tak godnie, że mu go powierzano potem jeszcze pięć razy. Został też członkiem t. zw. deputacyi regnikolarnej. Jest to najwyższy mandat polityczny, jaki otrzymać może Chorwat lub Madiar. Deputacya regnikolarna — to zwoływana peryodycznie komisya mięszana chorwacko-madiarska, wybierana przez sejmy budzyński i zagrzebski, celem określenia stosunku Chorwacyi do Węgier i rozpatrzenia spraw spornych z ostatniego peryodu regnikolarnego. Vrbanić był w tej deputacyi referentem ostatniej ugody finansowej chorwacko-węgierskiej, niedotrzymanej tak sromotnie przez rząd węgierski.

Vrbanić należał do stronnictwa „neodvisne narodne stranke“, był współpracownikiem *Pozora i Obzora*. Głośną była prowadzona przez niego w r. 1881 kampania z rządem węgierskim o Rjekę, port chorwacki, oderwany podstępnie od Trójjedynego Królestwa. Madiarzy powoływali się przy tem na § 66 ugody z roku 1868. Vrbanić wykazywał, że paragraf ten jest sfałszowany! — Suspendowano go wówczas od urzędu profesorskiego i wdrożono śledztwo dyscyplinarne, ale po kilku miesiącach katedrę mu przywrócono.

Sporo zasług pozyskał sobie też około rozwoju miasta Zagrzebia, którego radnym był przez szereg lat.

A poświęcając się życiu publicznemu, nie zaniedbywał bynajmniej nauki. Owszem pozostawił po sobie tyle dzieł i rozpraw, że gdyby się nie był zajmował niczem innem, jak tylko badaniami prawniczemi, należałby do wielce zasłużonych. Prócz podręczników dla młodzieży akademickiej, wydał około 40 specyalnych rozpraw. Zajmował się również badaniami w dziedzinie demografii i dziejów gospodarstwa.

Druk ukończono 2 października 1909 r.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Kraków. — Druk W. Korneckiego i K. Wojnara.
Pod zarządem Adolfa Nowaka.